Nr 9 (1572) Warszawa, 4 marca 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ostrzeżenie.

Zwracano już uwagę niejednokrotnie na niezwykły zastój życia umysłowego w Poznańskiem, które ze wszystkich dzielnic polskich najmniejsze czyni wkłady do skarbca narodowej kultury.

Dziwna tam panuje martwota, dziwnie odpychający stosunek do sił twórczych, karygodny zanik potrzeb umysłowych, który sprawił w końcu, że niemasz tam inteligencji, niemasz uczonych, niemasz artystów, ani literatury, niemasz wogóle szerszych i wyższych aspiracji, bo ludzie zdolniejsi, gorętszych uczuć i niepodległej myśli—przechodzą do innych dzielnic, nie chcąc i nie mogąc wyżyć w kieracie przyziemnej i oschłej rutyny.

Ludność tej dzielnicy, lubo dość zamożna, wiedzie pierwotny tryb życia duchowego, a i ten skąpy okruch kultury, którym się tam obdziela 4 miljony ludzi — pada z berlińskich stołów, suto zastawionych... tandetą, skrycie przez naszych ziomków admirowaną i naśladowaną otwarcie.

Bo własnej kultury, niestety, nie mają. Powszechna okupacja przez kler placówek życia publicznego, wespół z lokalnymi warunkami, czyni z W. Ks. Poznańskiego kraj wybitnie konfesyjny, rodzaj polskiej filji niemieckiego centrum, to też niema tam żywotnej, świeckiej kultury narodowej, jeno katolicyzm po polsku wyznawany, a wykładany po łacinie.

Gdyśmy dawniej takie czynili uwagi, przestrzegając przed grożącym niebezpieczeństwem, rzucano nam w odpowiedzi zarzut, że przejęci niechęcią do kleru, umyślnie zbyt czarnych używamy kolorów.

Dziś niejeden przyzna nam słuszność, tylekroć odmawianą, bo chwila obecna debiutem „Mojej Baby" w Krakowie ujawnia nietylko dziwne kwiaty, wyhodowane w poznańskich inspektach, ale nawet zmusza niektóre wielkopolskie organy prasy do bolesnej samokrytyki i smutnych utyskiwań, streszczonych przez p. Ludwika Romockiego w serji artykułów, gdzie takie znajdujemy wzmianki:

„Nie da się zaprzeczyć, że dzielnice pod berłem pruskim nie dotrzymują zgoła innym naszym dzielnicom kroku na polu intelektualnym, nietylko w produkcji, ale i w recepcji umysłowej..." „W pojęciach o estetyce, o pięknie, o sztuce, natrafiamy nierzadko na nieuświadomione tym, którzy im podlegają, ideały — berlińskie..." „Co sądzić o owej kulturze — najlepiej określił poseł Władysław Seyda w *Zniczu*: największym grożącym niebezpieczeństwem jest brak wiary w społeczeństwie w możność dźwignięcia poziomu kultury umysłowej..."

„Na grasujący indyferentyzm żali się wymownie nawet *Dziennik Poznański*, stwierdzając ogólną niechęć do brania na siebie zaszczytów poselskich. *Dziennik* cytuje wymówki, w rodzaju tej, że upraszany kandydat — nie znosi przeciągów w wagonie".

„O wspomnianym uchylaniu się od zaszczytu, ale i ciężaru poselstwa, pisze poznański *Przegląd Wielkopolski*:

„Wobec zbliżających się ogólnych wyborów do parlamentu i sejmu, kierownicy politycznych organizacji i przedstawiciele organów prasy — z przerażeniem spostrzegają brak chętnych. Brak posłów, powiedzmy wogóle — brak przedstawicieli politycznej kultury — to nie sporadyczny wypadek, to charakterystyczny objaw naszego politycznego działania, to jeden z nieuniknionych ciosów naszej ciasnej, doktrynerskiej polityki, naszej spaczonej opinji publicznej".

* * *

Oto autentyczny obraz stosunków poznańskich; niewesołe nasuwa on myśli. Cała połać ziem polskich

— jałowieje. Gdzie dawniej były kwietne łąki — dziś wydmy piasczyste, puste, beznadziejne ugory... A przecież Wielkopolska niegdyś szła na równi z innymi dzielnicami, a nawet im przewodziła, za czasów Libelta i Cieszkowskiego...

Czym więc tłómaczyć tak szybki i głęboki upadek?

Jak mógł powstać i rozwinąć się ten niesłychany, krańcowy utylitaryzm ogółu, tak dalece grzęznącego w sobkostwie i zamiłowaniu do wygód, że wybitni działacze uchylają się od pełnienia obowiązków poselskich, nie chcąc się narażać *„na przeciągi w wagonie"* — motyw, któremu zaiste trudno dać wiarę tutaj, gdzie ustawicznie patrzymy na ciężkie, nieraz nadludzkie, nieraz krwawe ofiary na ołtarzu ogólnego dobra! Mamy zato u braci z za kordonu niepochlebną opinję „nihilistów" i niebezpiecznych przewrotowców...

Oto są skutki przerostu czynników zachowawczych na gruncie klerykalizmu bez granic i bez hamulca!

Panowanie kasty, psychicznie i fachowo wrogiej dążeniom kultury i tropiącej wszelki polot ideałów cywilnych z nieubłaganą mściwością — nie mogło innych wydać rezultatów.

Gdzie duch przewodni całego narodu zamyka się w czterech ścianach plebanji — tam Ojczyzna musi zwyrodnieć i zmaleć do rozmiarów parafji.

Gdzie skala obowiązków narodowych i obywatelskich sięga jeno od przyziemnej walki o byt do mechanicznych praktyk religijnych — tam musi szerzyć się indyferentyzm, jak piasczysta wydma pod wiatrem. Gdzie istnieć mogą tylko księgarnie św. Wojciecha, zasypując ogół piachem jałowej dogmatyki, egzegezy i teologji — tam nie może być mowy o rozwoju nauki i sztuki. Gdzie zaciera się i znika rodzima kultura świecka pod sypkim brzemieniem kultury rzymsko-katolickiej — tam może budzić respekt i podziw ohydna tandeta berlińska, bo ona jedna świeci nowoczesnym blaskiem w owych ciemnościach beocko-egipskich.

* * *

Dla nas, Polaków, groźba to i przestroga zarazem, że skoro pozwolimy kulturę swą zepchnąć na stopień niższy i upośledzić w stosunku do obcych środowisk — wówczas grozi nam nieunikniony, wynaradawiający wpływ tych ostatnich. Dlatego programem wybitnie polskim jest program postępowy, który niebezpieczeństwo to przewidział i pragnie je zażegnać, gdy nasze żywioły konserwatywne często same mu drogę torują.

Klerykalizm Polaków poznańskich umożliwił niezmiernie dla nas groźny program rządowy *germanizacji przez Kościół*. Poczynić on może dotkliwe wśród nas spustoszenia, o ile nie stanie się to, na co kładziemy stosowny nacisk: o ile polskość nie przestanie być identyczną z katolicyzmem, o ile własnym zabłyśnie światłem i na własną, czysto narodową i świecką, zdobędzie się kulturę.

Wywoła to poważne i zbawcze przemiany w normach naszego wewnętrznego życia; co się zaś tyczy polityki poznańskiej, to i tak stoi ona w przededniu przewrotu: zerwanie z Centrum narzuca się siłą rzeczy, odkąd między Wilhelmem II a Watykanem zachodzi wymiana wzajemnych usług, co dla nikogo nie jest tajemnicą. Polacy zaboru pruskiego muszą zawrzeć sojusz z lewicą niemiecką, a więc z demokracją społeczną, która niewątpliwie na wyborach najbliższych znaczne osiągnie tryumfy — i z kiełkującym dziś radykalizmem mieszczańskim, któremu sądzono jeszcze wielką w dziejach Niemiec odegrać rolę.

* * *

Na stosunki w Poznańskiem nasza opinja winna zwrócić natężoną uwagę. To, co się dziś dzieje po naszych wsiach i osadach — działalność Kół Staszycowskich, świetny rozwój kooperatyw, wzrost samopomocy i zaradności zbiorowej — to wszystko świadczy, żeśmy tu, mimo najgorsze warunki, zdołali położyć trwałe podwaliny kultury świeckiej, która z *dobrobytem materjalnym* sprzęga *bogactwo duchowe* i oszczędzi nam niezawodnie poznańskich upośledzeń...

„W oczach naszych — pisano w *Gazecie War-*

A. BIEŁYJ.

KRZAK.

Przełożył z upoważnienia autora

Kazimierz Wroczyński.

Hejże — a gdzie to Iwanie Iwanowiczu?

Lecz to już tylko był durny Iwaś.

Podskoczył łopian pod przelotnym wiatrem, a biały szlafrok wzbił się wspaniale, uniżenie opadł, — i wówczas pomiędzy wzniesionymi w powietrze połami, rozwartymi ku górze jak ręce błagalne, uśmiechało się niebo z przebiegającą chmurką. Na jednej stopie durnego chlupotał stary mokry pantofel; obydwie nogi tonęły w czerwonym płomiennym piasku; wiatr tu uczył wiejne trawy skakać, rwały się rumianki, chyliły dzwoneczki lila i w oczach słaniająca rozsypywała mu się purpura pijanych goździków. A on ponad kwiatową roztęczą szybował w niepowstrzymanym pędzie, chwytając się za serce, za swoje serce zmęczone.

On to muzyką słowa po miastach z martwych wskrzeszał, wyciągał trupy pod powietrzne prądy burzliwe. Lecz oni znieść nie mogli powietrznych prądów i znowu trupy do swych trumien się rozbiegły. I ot porzucił miasta, ot i w pola uciekł — w pola...

Zaprzestał słowa nabijać dynamitem, — przestały jego usta wyrzucać pociski wybuchowe.

Mówił — aż i zamilkł.

Zamilkł — aż i pobiegł.

Przejrzyste wiatru płatki pieszczotliwie, bielami róż powiały mu wspaniale — teraz — gdy biegł — Iwaś myślał.

Jak to bywało, gdy wielbiciele wymowę jego kradli, aż rozkradli; jak to bywało, gdy nieprzyjaciele cichaczem napychali mu śmiećmi kieszenie, by potym każdy śmieć wyciągnąć napowrót z kieszeni na ludzkie pośmiewisko.

Durny myślał.

Przeskakiwał kępy, rowy, w szlafmycy na głowie, z wiatrem nad głową, rozbitą kijem głową.

szawskiej pod nagłówkiem „Znamienne objawy" — powstaje zupełnie nowa społeczność, wytwarzają się nowe więzy społeczne, nawiązują się nowe stosunki, zmienia się gruntownie fizjognomja wsi.

Współdziałanie w tej przemianie i nadawanie jej właściwego kierunku jest dziś najważniejszym naszym zadaniem w zakresie życia wewnętrznego, najpilniejszą potrzebą naszą".

Tak jest — i to współdziałanie my, postępowcy, mieliśmy zawsze na widoku, a co do właściwego kierunku — można go już określić i wytknąć na podstawie własnych i cudzych doświadczeń: jest nim kultura demokratyczna, postępowa i świecka, bezpośredni wytwór świadomej i żywotnej polskości, której nam żaden pośrednik ani zastępca nie wydrze już i nie wypaczy.

„Wielebne głupstwo".

Takim zapewne mianem ochrzciłby nieśmiertelny autor „Monachomachji" pasterski elaborat swego kolegi, biskupa Łosińskiego, odczytany tej zimy ze wszystkich kazalnic djecezji Kieleckiej, a uwieczniony drukiem w tłoczni *Polaka—Katolika* w Warszawie: (*List pasterski J. E. ks. Augustyna Łosińskiego do wiernych dyecezji Kieleckiej, 1911*).

Krasicki gdyby zdołał przeczytać go do końca, takim ochrzciłby go mianem, gdyż był człowiekiem królewskich salonów i, dbając o wykwintność stylu, usunął z użycia dużo jędrnych i dobitnych wyrazów staropolskich, używanych przez Reja, Kochanowskiego i Wacława Potockiego.

Kościół namiętnie lubi powoływać się na świadectwo przeszłości; sam siebie uważa za wcielenie tradycji, za „naczynie" osobliwych doświadczeń dziejowych.

Idźmy tedy za kierunkiem jego rady! Sięgnijmy po dokumenty historji, Zestawmy i porównajmy ze sobą postaci owych dwu dostojników Kościoła, przedzielonych odległością stulecia. Dla pełni obrazu, nawet rozszerzmy z obu stron ramy porównania: wskrześmy pamięć Naruszewicza, Felińskiego, Jana Pawła Woronicza i naprzeciw nich postawmy biskupa Zdzitowieckiego, arcypasterską mitrę Popiela lub pastorał Nowowiejskiego. Czyliż można wyobrazić sobie bardziej palące upokorzenie dla dzisiejszego kleru, niźli wywołanie z przed stulecia imion ich wielkich poprzedników?

Zdaniem biskupa Łosińskiego, tak złych czasów, jak obecne, jeszcze nigdy w Polsce nie było. Jeśli przemawia przezeń w ten sposób instynkt samopoczucia, zbiorowy instynkt kleru, to należy przyznać mu słuszność. Człowiek, który ślepnie, nie zdaje sobie sprawy z tego, że wzrok utraca, ale w rozpaczy woła, że świat dokoła niego ciemnieje.

Istotnie w murach Kościoła katolickiego w Polsce zwyrodnienie i upadek przybierają rozmiary zatrważające. Poziom umysłowy duchowieństwa odpowiada zainteresowaniom intelektualnym czytelników *Barbary Ubryk*, a poziom jego sumienia spadł, niestety, poniżej etycznego *minimum*, żądanego przez kodeksy karne.

Kędyż są czasy owe, w których biskupi i księża szli na czele odrodzeaia duchowego narodu, sercem i głową dźwigając losy ojczyzny? Gdzież są, śród luminarzy dzisiejszego kleru, owi mężowie, którzyby, jak ongi Adam Naruszewicz, dawali w nauce początek nowym szkołom historycznym, fundowali bibljoteki jak Załuski, epokę stanowili w piśmiennictwie, jak biskup Warmiński, a razem z młodzieńczym Felińskim, późniejszym arcybiskupem, pielęgnowali w zbożnym ukochaniu kult poety, który Boga swego czuł nie w mrokach kruchty, ale „w błękitnych polach Ukrainy?"

Czyjeż, dzisiaj, serce, pośród sług albo władców Kościoła, zawrze w sobie tyle miłości i tyle bólu ojczyzny, co serce Woronicza, kiedy wraz z narodem całym klękło u niepogrzebionych jeszcze zwłok księcia Józefa Poniatowskiego, aby ze świętych ran bohatera łzami obmyć proch jego pozgonnej tułaczki?...

Niegdyś biskupi pisali książki, tworzyli dzieła naukowe i literackie; dzisiejsi pasterze — usiłują książki niszczyć. Dawniej fundowali książnice, obecnie chlubią się z zamykania czytelni i tępienia czytelnictwa: biskup Łosiński w swym „liście" ubolewa bez granic „że mnożą się książki, broszury, odczyty, pogadanki, wykłady szkolne" — i woła: „to dopiero bólów ból". Przed paru laty hr. Szembek, biskup Płocki, podczas pamiętnego kazania w Pułtusku, rzucił *anatemę na rozpowszechnione wśród ludu pisma Sienkiewicza*, a godny kolega jego, biskup Niedział-

---

Myślał.

Ha! toż to on przecież w czarnym fraku, — on właził na mównicę, zkąd rzucał kwiaty im z serca rwane, kwiaty na które nazwy niema, — ongi na mównicę — teraz wlazł na przyziemny kwiecisty garb —

Oj Iwasiu!

Raz go trzasło w czoło zgniłe jajko — zlazł z mównicy w poplamionym fraku. Od tej już pory chodził w marynarce z pliką książek pod pachą. Tkał palcem w stronicę tłocząc książkę pod czyjś tam olbrzymi nos: „Przecież tu jest napisane!" — Lecz ręka olbrzymiego nosa klepnęła go po kolania a przed nosem parsknięto mu coś do ucha: „A niech pana wszyscy djabli; — spokoju nauczacie nas — ludzi spokojnych"...

Oj durny!

Arena naukowa zakończyła się brukowymi wymysłami; hardą on stopą wówczas po brukach się tłukł, stójkowych tłukł i wyśpiewywał na kupach kamieni: „Zamknijmy księgę starych dziejów świata!"

I zamknęli.

I cztery ściany stały się dlań światem nowym, światem, gdzie po łagodnej błękitnej plamie nieodłącznie patrzącej zza okna mknęły obłoki, przelatywały ptaki, noce i dnie. Lecz gdy się drzwi rozwarły, promień zranił serce. Z sercem przeszytym, z przenikliwym krzykiem niósł się on wzdłuż płomiennych piasków. Dawno podarta, zbutwiała oddawna szlafmyca, skradziona wietrznym pędem, gdzieś daleko i głupio skakała precz od pana i niepoczytalnie stoczyła się w jamę. Widział Iwaś krzak tańczący w wietrze na dalekim pustkowiu. Czujnie strzygło liściaste jego ucho i drgało suche, czerwone oblicze powleczone korą opalenia. A korona listowia to milczącą tęsknotą wyżyła się nad przestrzennymi płomiennnymi piaskami, wyżyła się brązową wprost jakby w niebo z szyi wyrosłą prawicą, to w zapamiętałej ekstazie pokłonów dłużył się krzak i chylił i opadał ku polom z westchnieniem mimowolnym, ziemię namiętnie całując. A rozciągnięta na kępach lewica torturowała glebę — drapała chciwie, a listowie w jej korkowych palcach syczało sykiem gniewnym. I oto blade ciało runęło głucho głową w piasek, runęło pod zielonym krzakiem — władyką tych pustoszy, — gdzie jeno kamienie ostrzem żeber wrzynające się w ziemię krwawiły ją wylewanymi z siebie piaskami.

Krzak wznosił się tuż obok kamienia — a i był

kowski, wcześniej nieco, wyklął i potępił w „Roli” całą współczesną twórczość poetycką w Polsce.

Hasła ks. biskupa Łosińskiego, zagrzewające chłopów do walki z ideami, „postępu kultury, moralności niezależnej, niepodległej myśli, wszechstronnego sposobu widzenia rzeczy, etycznyyh zasad, wyzwolenia z ciemnoty i barbarzyństwa średniowiecznego”, — nie są indywidualnym wyrazem jngo bojowniczego ducha, ale wspólnym zbiorowym sztandarem całego wojującego w obecnej chwili Kościoła. Między klerem niższym a jego władzą zwierzchnią niema wydatnej różnicy; głowy episkopalne są tylko punktami, w których powszechna ciemnota i przewrotność, po parafjach rozproszona, dochodzi do materjalnngo zgęszczenia, w postaci „Listów pasterskich”. Miast pszedsiębrać gruntowne reformy w swej owczarni klerykalnej, biskupi polscy poprzestają na smutnej roli teoretyków umysłowego i moralnego rozkładu kościoła. Dwa tysiące parafji, w Królestwie Polskim, śpi pogrążanych w niewolniczym letargu, więc biskup Augustyn Łosiński, sankcjonując tą błogą sielankę woła: „Pereat myśl niepodległa! Niech żyje *uległa bezmyśność*!” Ale cóż dziwnego, że skoro pierwsza ta formuła znajduje posłuch szeroki, znajdzie go również i następna: „Pereat niezależna moralność!” dając w słynnej trójcy częstochowskiej o. o. Damazym, Izydorze i Bazylim klasyczne wcielenie *niemoralności zależnej*... od przeora!

Postawienie przez wielebnego pasterza „wszechstronnego sposobu widzenia rzeczy” na indeksie metod zakazanych, lub gloryfikowanie pszeceń przeszłości za „pijatyki, zabawy bezmierne, zajazdy połączone z gwałtem i rozbojem, wojny i klęski od nieprzyjaciół”, dlatego iż „ciężkie te upadki” stawały się niegdyś punktem wyjścia dla „pokuty, czynionej nieraz publicznie, wznoszenia kościołów, klasztorów, i ołtarzy” — oba te akty „sądu biskupiego” znamionują taką niedorzeczną otchłań perwersji nurtującej duszy współczesnego duchowieństwa, że stanem jego zaniepokoiła się — sama Narodowa Demokracja.

P. Rusticus w swych „Listach z dworu wiejskiego” (Nakład *Gazety Waszawskiej* 1911) skarży się (str. 97), „że duchowieństwo wiejskie zaczęło przystosowywać swoją działalność do nastroju, panującego w masach ludowych, a przestając z odmiennym i nieoświeconym otoczeniem, zatracało stopniowo przymioty kulturalne...” Z drugiej zaś strony, pisze tenże autor, — „na obniżenie śród duchowieństwa poziomu kultury duchowej wpływał fakt, że w szeregach księży wiejskich, skutkiem nizkich wymagań pod względem cenzusu naukowego, znalazły się jednostki, nie rozumiejące doniosłości swej misji i pozbawione nadto szerszych aspiracji społecznych”.

Do wyjątkowego, wobec zadań kultury, upośledzenia naszego kleru, przyczyniała się, tłumaczy całkiem słusznie p. Rusticus, taktyka rządowa, stosowana konsekwentnie dziesiątkami lat. Ksiądz zamknięty został dosłownie w granicach jednej parafji. Rząd przykuł go do taczki oportunizmu, zamykając przed nim wszelkie drogi działań społecznych, i pozostawiając mu jedną jedyną tylko ścieżkę wolną — detalicznej przedaży posług obrzędowych. Nie żądano odeń wiedzy, nie żądano zdolności ani talentu, ani charakteru, ani poświęcenia, ani — bezinteresowności.

Stan *duchowny* kleru przeistoczył się w stan *materjalny*, w rzemiosło, w zawód, dający swym funkcjonarjuszom, przy bardzo nizkich kwalifikacjach, wcale niezłe dochody, wahające się średnio między 2,000 a 3,000 rb., w uprzywilejowanych atoli wypadkach sięgające 8, 12-stu a nawet 15-stu tysięcy rubli rocznie. Tego rodzaju karjera, sowitym wynagrodzeniem opłacająca *pomniejszenie ducha* w człowieku, odstręczać musiała wszelkie jednostki szlachetniejsze, ideą dobra powszechnego ożywione, natchnione młodością, poezją czynu i żądzą ofiary. Szeroką natomiast falą napłynęły do kadrów duchowieństwa dwa przeważnie typy psychiczne: typ *imbécile'a*, nieuk zdeklasowany przez inteligencję, niezdolny do zajęcia stanowiska na jakimkolwiek polu pracy wytwórczej, oraz typ *karjerowicza*, homo nowus, dźwigający się z klasy włościańskiej ku burżuazji, osiadający na parafji, jako na dorobku. Typ pierwszy zazwyczaj z dochodów swych wspiera szlacheckie habendy podupadłej rodziny, drugi natomiast staje się pomostem, po którym chłop — dorobkiewicz ze stanu gminnego przechodzi do „inteligencji”, a właściwie z ubogiego gminu — do gminnego dobrobytu.

Oba zaś niezaprzeczenie są produktami warunków politycznych, są najelementarniejszą, przyziemną wegetacją na grzędach niewoli i ucisku. Kler, w dzisiejszym swoim składzie osobistym, zawdzięcza byt swój i karjerę *uciskowi*, cóż więc dziwnego, że sam, z kolei, staje się rozsadnikiem niewoli i ucisku?

Te same prawa, które rządziły doborem osobistym jednostek w kadrach niższego duchowieństwa,

---

tronem po prawicy. A kiedy padł Iwaś, rosnące po lewicy osty zaniosły się dyszkkantem: „Nie odwracaj oblicza Twego”.

Dumnie wzwyżył krzak swą zioloną nad nieszczęśnikiem koronę, by pustelnictwu go poświęcił, by z pietyzmem królewskim wiatrem pomazanie nad nim spełnił. Lał więc nań olej wiatru, zlał swego listowia słodką pieśń o zorzy; wiatr plusnął, a osty ni to chóry młodzianków — śpiewaków dźwięcznie a bojaźliwie świsnęły. Alleluja — chwała Ci”.

Welon złotego pyłu płomiennie wzdęty opadł posłuszny na zmęczone ciało durnego, — potem zaś w cichym wiewie otulił go krzak swym czarnym cieniem, — tak spowiednik gdy rozgrzesza, nakrywa stułą spokoju, gdy się pod nią kaja czyjaś bezwładna dusza. A zaś potym krzak ujął niewidzialne trybularze za srebrne wietrzne nici, — liściaste ręce i wznosiły się i opadały nad przestrzeniami, gdy dzwoniąc melodyjnie wiatrem, trybularz dymił oparami ros. A w ros oparach wyrósł sam on krzak widmem przedziwnym — dopóki dalami szli jeszcze ludzie, — wzdychali — oh jakież to dziwo tam wyrosło — módlmy się!

Zakwitały przestrzenie światłem. Dzień dojrzewał jak ciężkie, złote, kłośne ziarno. Ostrymi kamykami czesał uciekinier rankiem włosy a rozglądał się po chłodnym pustkowiu: Jakże mu się teraz wydawało wszystko prostym odartym z wszelkiej królewskości.

Krzak koronowany siedział sobie nad jarem i wićmi robił z mgły pończochę. Lecz cisnął wnet swą mgielną pończochę w jar, zoczywszy, że gość się już obudził.

Zaczął dobrodusznie z gościem gawędzić. Krzak to tam nie uciekał z pól, z miast również krzak nie uciekał, a ot wyrósł sobie lojalnie na tym pustkowiu, w promykach zorzy.

Nad młodymi pędami przeciągnął swe pręty a chwalił się: „Te okolice to ja obsiałem, jam tu gospodarz”. Podhaczył wiaderko zielonym korzeniem, zbiegł niezgrabnie do strugi, przyniósł srebra:

„Umyj się, rzekł, odpocznij, mieszkaj sobie u mnie, ale pamiętaj, — gdy zorza przyjdzie, żebyś mi nas nie śledził. Sękami potarł nad chrustem, wyrosł czerwony kogut i chciwie zaczął dziobać chrust.

Dzień po dniu ciekł przez pustkowie strumieniami swobody upojnej. Durny jak nałogowy pijak pił ciszę — ekstrakty gwiazd jarzących, traw migo-

odcisnęły swe ujemne piętno również na doborze zwierzchników. Przy obsadzaniu stolic piskupich, stale wysuwano i promowano jednostki odcięte od pnia kultury i tradycji ojczystej, nie orjentujące się w życiu miejscowym, niekiedy wprost wrogie polskości, a zawsze wobec władzy świeckiej bierne, a zawsze, przedewszystkim giętkie. Tacy dostojnicy, jak Stanisław Zdzitowiecki, lub Augustyn Łosiński tylko naszym ciężkim warunkom dostojność swą mogą zawdzięczać. Tóż samo rzec było można o zmarłych pasterzach djecezji Płockiej hrabi Szembeku i Apolinarym Wnukowskim, z których pierwszy przysłany został do nas z Samary, a drugi nawet mówić poprawnie po polsku nie umiał.

Dzisiaj, na tle obecnej atmosfery kleru, niepodobieństwem jest poprostu wyobrazić sobie żyjące postaci Naruszewiczów lub Konarskich, Krasickich albo Kołłątajów.

Tamci też nosili na sobie wprawdzie suknie zmaterjalizowanego Rzymu, ale jednocześnie byli to entuzjaści reform i postępu jak Kołłątaj i Konarski, wyprzedzający ducha swej epoki, światli jak Naruszewicz, przedziwni mistrze polszczyzny, jak Ignacy Krasicki.

Dziś na stolicach biskupich rozpiera się butne grubijaństwo, nieokrzesanie ciemnych głów, trzęsie się starcza niemoc lub chciwa zaszczytów próżność.

A niżej... niżej, w cieniu stolic biskupich, dzwony biją i organy grają w całej Polsce, a przy biciu dzwonów krzątają się czarne legjony kleru, modlą się i liczą groszaki, liczą groszaki i modlą się tak żarliwie, jak w Jerozolimie modlił się kiedyś pewien skruchą przejęty braciszek u grobu Chrystusa Pana[1]: „Chryste, ja ci tylko usługiwać będę, ja ci tylko przed ołtarzem lampy oprawiać będę, ja ci tylko podłogę w tym twoim przybytku myć będę; a ktokolwiek śmiałby bodaj jedną tafelkę twojej świętej posadzki umyć za mnie, temu Chryste Panie i Zbawicielu mój — łeb rozwalę!"

J. Tarczewski.

[1]) P. „Myśl Niepodległą" — Nr. 12.

W sprawie wychodźtwa do Parany [1])

Dr. Stanisław Kłobukowski, w korespondecji swej z Parany, datowanej w dniu 19-go lutego 1909 r. a ogłoszonej w „*Polskim Przeglądzie Emigracyjnym*" pisał między innymi co następuje: „Pomiędzy Polakami, (a prawdopodobnie i pomiędzy ludźmi innej narodowości) urodzonymi w „starym kraju" panuje wciąż w Paranie niezwykłe rozdrażnienie. Łatwo się poróżnić, kłócą na śmierć i życie o rzecz małej wagi lub skutkiem fałszywych, wzajemnych domysłów i podejrzeń. W całym kraju i niemal na każdej kolonji są osoby, mające słuszną czy niesłuszną pretensję przewodniczenia rodakom i uważające rzeczywistego lub urojonego przeciwnika lub współzawodnika za skończonego zbrodniarza, względem którego każdy środek jest godziwy *pro publico bono*. Co kto przedsięweźmie dobrego, czy to towarzystwo albo związek jaki, czy założenie szkoły, lub też jakiego przedsiębiorstwa, można być z góry pewnym, że znajdzie się wnet współzawodnik, który *pro publico bono* postara się mu to pokrzyżować".

Pogląd Dr. Kłobukowskiego mimowoli przyszedł mi na myśl, gdy czytałem list Ks. Józefa Anusza, ogłoszony w Nr. 5 *Prawdy*, a zawierający w formie pytań surową krytykę mego postępowania jako dyrektora Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego i redaktora *Polskiego Przeglądu Emigracyjnego.*

Bo doprawdy tylko wielkim zdenerwowaniem wytłumaczyć sobie mogę fakt, że ks. Anusz, polegając na informacjach, pochodzących z jakiegoś znać bardzo jednostronnego i mało wiarygodnego źródła, uważał za właściwe wystąpić publicznie z ciężkimi zarzutami przeciwko kierownictwu instytucji, za której członka i „męża zaufania" sam się uważa. Wszak zawarte w liście jego pytania, stanowią właściwie formalny akt oskarżenia, sporządzony bez przesłuchania strony obwinionej, a dziwić mnszą tymbadrziej, że nie zostały naprzód skierowane choćby z pominięciem mojej osoby, ale pod adresem Rady Nadzorczej P. T. E., która z pewnością nie omieszkałaby zbadać słuszność podniesionych przez ks. Anusza zarzutów i jak najchę-

[1]) Z powodu artykułu ks. J. Anusza p. t. *W sprawie wychodźtwa* (*Prawda* Nr. 5) otrzymaliśmy od p. J. Okołowicza, redaktora *Polskiego Przeglądu Emigracyjnego*, szereg wyjaśnień, które pomieszczamy w imię bezstronności. *R.*

---

tliwych a powietrza. Serce jego stało się naczyniem pełnym alkoholu ciszy, a myśl brzęczącym rojem pszczółek. Zbierały one a mnożyły w sercu miodowe plastry. Do piasku gadał durny, do octu, a ust jego miód aromatyczny spływał na kwiaty. I ptaki się z nim oswoiły, wydzierały mu włosy na podściółki do gniazd.

Łaził też wzdłuż ogrodów warzywnych, kradł marchew, kapustę — a wpadnij ty tam na ogrodników, to cię wcale jak psa kamieniami nie zatłuką.

Hej! toć i nie raz widywała go córka ogrodnika łabędziem białym płynąca o wieczorze z sondami po wodę — łabędziem białym — przedziwna w piękności straszliwej, lśniącej jak błyskawica.

Nóżka z pod sukienki strząsała słodkości rośne z pantofelków Matki Boskiej, aż na nóżki myrra kwiatowa pryskała. Biały, bieluteńki kaftanik purpurą łatany cisnął piersi, a przytulał się, — a pierś jej młoda chciwie dyszała. A usta rozchylone, szkarłatne, a usta jej namiętne ledwie ocienione morelowym puchem — wiecznie szepcące ku nieba lazurom przejrzystym, wiecznie szepcące ku niebiosom gwieździstym, wezwania w przeczuciach, — wyznania.

A brwi sobolowe, bursztynowe lica, rumieniec bladoróżowych jabłek — a oczy jej — gwiazdy, jakimże łagodnym oczekiwaniem roztętniały duszę — ah! a jakimże tchnęło zapachem, odurzające jej kos rusałczanych zielone złoto — Wejrzenia zaś — spojrzenia! — Żadne serce nie wytrzyma jej zatrutych spojrzeń niewymownych, jej błękitnych, przelotnych choćby, spojrzeń z pod ciężkich jak ołów ciemnych rzęs, gdy z uśmiechem pełnym pokus opali ona w przelocie swymi migdałowymi oczyma.

A jeżeliby jaskółka przerżnęła wówczas powietrze świrem przeszywającym duszę — o nie! padłbyś na ziemię do jej stóp — by całować — całować je ochłodzone w rosach. Wrzące łkanie wydarłaby ci ona z piersi, boć i jej serce spalało się od krzyków — i padłaby ona w murawę, — pieszczotliwem dotknięciem lekkich, jak wietrzyk rąk — wyżeniłaby-ć z serca udrękę śmiertelną...

A potem — potem cała w uśmiechach ku samej sobie — odeszłaby z swymi lekkimi sondami — cała w turkusach letniego wieczoru.

Takąż to jest córka ogrodnika.

D. n.

tniej służyłaby mu dokładnymi wyjaśnieniami. Okoliczność,że jeden list ks.Anusza do mnie pozostał bez odpowiedzi, nie może stanowić wymówki, gdyż ks. Anuszowi musi być wiadomem, jak wiele listów, wysyłanych do Parany lub z Parany, nie dochodzi do rąk adresatów.

W odpowiedzi na pytanie ks. Anu-za, mogę tu tylko oświadczyć, iż wszystkie, od pierwszego do ostatniego, polegały na informacjach mylnych i zawierały fakty, bądź zupełnie zmyślone, bądź też świadomie czy nieświadomie przekręcone.

Właściwą jednak przyczyną, która pytania te nasunęła ks. Anuszowi pod pióro, jest z jednej strony fanatyzm, z jakim propaguje ideę skupienia *coûte que coûte* jaknajwiększego wychodźtwa w Paranie, z drugiej strony uprzedzenie do mnie, zresztą zupełnie niesłuszne, za to, że do wychodźtwa tego jestem rzekomo niechętnie usposobiony i staram się mu wszelkimi sposobami przeciwdziałać.

Nie będę na swoją obronę przytaczał faktu, że niedawno antysemicko-klerykalny *Głos Narodu* w Krakowie w paru artykułach potępił mnie (z równą zresztą słusznością) za rzekomą „naganke do Parany" twierdząc, że usiłuję na korzyść tego kraju wyludnić ziemie polskie z przyległościami. Muszę natomiast przypomnieć, że jeszcze przed 11 laty kiedy to ks. Anusz wcale jeszcze nie interesował się ani emigracją wogóle, ani wychodźtwem do Parany w szczególności, kraj ten poznałem dość dokładnie, i od tego czasu stałem się gorącym zwolennikiem i propagatorem idei skoncentrowania tam naszego wychodźtwa osadniczego. Zasadę tę głosi również Polskie Towarzystwo Emigracyjne i potrzebę dążenia w tym kierunku usilnie propaguje w *Polskim Przeglądzie Emigracyjnym* i innych swych wydawnictwach. Ale niestety (tu muszę powtórzyć to, co stwierdzam w sprawozdaniu P. T. E. za rok ubiegły) jest to teorja, którą w praktyce trudno realizować, albowiem b e z p o ś r e d n i e g o wychodźtwa osadniczego w większych rozmiarach w ostatnich czasach zupełnie prawie nie mamy. Mamy natomiast olbrzymie wychodźtwo zarobkowe, którego główny prąd płynie wyżłobionym korytem do Ameryki północnej i dla którego Parena, jako kraj pozbawiony przemysłu, zupełnie się nie nadaje. Nie można tedy skierowywać wychodźtwa osadniczego (kolonistów) do Parany, skoro wychodźtwa takiego właściwie prawie niema, o ile zaś jest, zazwyczaj przeobraża się na nie z wychodźtwa zarobkowego już za morzem, gdzie dopiero część emigrantów nabiera chęci osiedlenia się tam nazawsze i zarzuca zamiar powrotu do kraju ojczystego.

Wychodźtwo do Parany stanowiło w ostatnich latach około 1 proc. wychodźtwa do Ameryki Północnej.

Na te krociowe masy naszych wychodźców, które każdego roku opuszczają kraj, wędrując za morze, składają się włościanie, jadący tam do kopalń, fabryk i warsztatów z zamiarem powrotu. Przerabiać ich na kolonistów i zawracając z drogi do Ameryki Północnej, skierowywać do Brazylji—nie można dla dwuch względów: raz dlatego, że to wogóle robić się nie da, a następnie, że gdyby to nawet było wykonalne, byłoby połączone ze szkodą dla kraju, dla którego zarobkowe wychodźtwo powrotne jest stanowczo korzystniejsze od kolonizacyjnej emigracji bezpowrotnej, choćby ta nawet skierowywała się do najlepszego dla niej terenu, do Parany.

Są to, zdawałoby się, rzeczy zupełnie jasne, a pomimo to nie chcą pojąć tego rozmaici patrjoci parańscy, czując do P. T. E. żal, że wieśniacy nasi w ostatnich latach jechać tam nie chcieli, nawet pomimo istnienia bezpłatnego przejazdu dla rodzin rolniczych i rozmaitych ulg, przyznanych kolonistom przez rząd brazylijski. A jechać tam nie chcieli poprostu dlatego, iż obecnie jest u nich, że tak powiemy, w modzie wychodźtwo zarobkowe, a perspektywa nabycia za oszczędzone w Stanach Zjednoczonych dolary trzech morgów gruntu w rodzinnej wiosce ma dla nich urok stokroć większy, niż pewność otrzymania 50 morgów lasu w pięknej Paranie.

Z zamiarem więc wyjazdu do Parany zgłaszają się do P. T. E. najczęściej nie chłopi bezrolni, ale rozmaitej kategorji żywioły miejskie, dla których Parana rzeczywiście nie jest terenem najlepszym. I ci zgłaszają się nie z powziętym z góry postanowieniem, lecz, jak powiedziałem, z zamiarem tylko, z oświadczeniem, że pojechaliby tam, gdyby im tam być miało dobrze. Informacje, udzielane im przez P. T. E. stosunków parańskich nie idealizowały, obok stron dodatnich zaznaczając także i ujemne i podnosząc z naciskiem okoliczność, iż do Parany ani nigdzie indziej do Brazylji nie powinni jechać ci, którzy boją się ciężkiej fizycznej pracy, pełnego niewygód życia w lesie i borykania się przez parę pierwszych lat z trudnościami życia osadniczego, nieodzownymi, zanim nadejdzie upragniony dobrobyt. Skutek tych informacji był taki, że 90 proc. zgłaszających się o nie, zamiaru swego zaniechało, pozostając w kraju. Sądzę, że działo się to i dzieje nietylko z korzyścią dla owych kandydatów na emigrantów, ale bez uszczerbku dla dobra polskiej kolonizacji w Paranie, która według wszelkiego prawdopodobieństwa nie miałaby z nich wielkiej pociechy.

Józef Okołowicz

Kraków, dn. 14 lutego 1911 r.

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

III.

M e t a f i z y k a z n a k u r ó w n a n i a. „Świat jest materjałem czynu". „Czas jest tylko mostem dla czynu". Zaiste, czyn jest wielkim panem. Może jest nawet Panem Bogiem.

Świat jest wodą. Nie, świat jest ogniem. Świat jest duchem. Nie, świat jest ciałem. Może — ruchem? Nie — spoczynkiem! Świat jest mną. Świat jest tobą. Świat jest wolą. Wolą do życia. Nie, do potęgi. Nie, do słabości. Świat jest wielką rybą. Świat jest energją. Świat jest mąką. Nie, świat jest naftą.

„N i e ś w i ę c i g a r n k i l e p i ą". Faktorzy czynu bywają zwykle faktorami genjuszu i tworzą o jednym i drugim zamorskie baśnie, aby tylko handel szedł, aby w ludzie podtrzymywać nabożne dreszcze. Są to pojęcia, jak woreczki, które się pokryjomu ładuje dowolnym materjałem a potym zawiesza wysoko ponad głowami gapiów, aby czynić objawienia.

Albo np... „życie"? Czy czujecie woń świętości? Zapewne znowu jakiś wajdelota jest w pobliżu! Uciekajmy — znowu pokaże nam dziurę w niebie i powie, że to bóg i będziemy się musieli wstydzić, gdy tego nie zobaczymy!

P o d u s z k a z c z y n u. Po pracy przygotowań, niepewności, wahań dobrze jest rzucić się w czyn, aby nareszcie — odpocząć. Tu wieje zimne orzeźwiające powietrze, świeci słońce, któregośmy nie widzieli w naszych tunelach.

C z y n i ł a d. Jeżeli się chce być absolutnie pewnym wartości swego życia i każdego w nim kroku, jeżeli się jest sytym grzechów, pytań, obłudy, badań, prób, kompromisów, wtedy praktycznie jest zaciągnąć się do jakiejś partji czynu, bo ma się rękojmię, że choćby ta partja nawet się w tym lub owym punkcie myliła, jednak służąc jej, postępuje się w sposób kaligraficzny i matematyczny — uczciwie, legalnie, nico-

mylnie. Ta pewność jest tym bliższą, im więcej się przy tym naraża własne życie.

Może to ten duch porządku był, który kazał Montwiłłowi — Mireckiemu po różnych „esdeckich naleciałościach” przerzucić się do obozu, gwarantującego najniewątpliwszą karjerę bohatersko-męczeńską. Człowiek cichy, spokojny, nie lubiący frazesów ani popisów, zamiłowany w porządku; jeszcze na dzień przed zgonem uczył się, słał sobie łóżko i porządkował książki. Dzieła poetów były mu żywiołową potrzebą — był ptakiem, który od czasu do czasu kąpał swe skrzydła w poezji. — Biograf bohaterów P. P. S. Orwid, który chce ich wszystkich podciągnąć pod jeden banalny strychulec starej bohaterszczyzny, przyciosując Montwiłła na model do naśladowania, raczej go obniża niż podwyższa. Bo jeśli kto był bohaterem na własne sumienie, nie trzeba zeń robić po śmierci pajaca gwoli zbudowania publiczności i młodzieży. Jest to w swoim rodzaju profanacja śmierci; bo wszędzie, gdzie jest *morał*, tam przypuszcza się *bajkę*.

N i e psujcie bliźniemu zabawy! Gest zastraszania i zawstydzania, wnoszenia trumny na salę balową, jest bardzo popularnym zwłaszcza u Wajdelotów czynu. Z jakich 6 lat temu Brzozowski napisał w „Głosie” artykuł: „Tryumfatorom”, w którym przedstawia: Oto maski bawią się na sali, nagle powiało zimno, rozległ się trwożny szept: jest w pośród nas czyn! (nb. robotnik). Ten gest powtarza się ciągle. „Wesele” i „Wyzwolenie” są egzemplifikacjami tego motywu: brania na serjo. Glass we „Wiesławie Wronie”, oddawszy naprzód pokłony Czynowi „oto wśród nas stanął człowiek rosły” (nb. robotnik), eksploatuje potym całą jego butę gwoli znęcania się nad burżujskim, tchórzliwym, kramarskim światem w imię św. Bomby. Zapowiedział on był pisać rzecz p. t. „Polska na pogrzebie Wyspiańskiego”— cóżby to było, jak nie duplikat „Wyzwolenia”, jak nie „zdemaskowanie” komedji pogrzebu, a możeby nawet jeszcze Wyspiański wystąpił tam w roli Kazimierza Wielkiego i trzasnął młotem w pierś którego mówcy. Ale ponieważ mów na pogrzebie nie było, więc i gest przygotowywany spalił na panewce. Do absurdu jednak doprowadził tę licytację w braniu słów na serjo— któż jak nie Wilhelm Zachłanny, człowiek bardzo użyteczny, który wie zawsze, w jakim kościele dzwonią i wszędzie śpieszy, by pomóc ciągnąć za sznury. On to podczas uroczystości grunwaldzkich wizjonuje pojawienie się czcigodnego króla Jagiełły, który jak św. Antoni u Maeterlincka, albo Chrystus w „Karamazowych” wałęsa się między jubileuszowcami i dokucza im: a gdzie czyny? Ja czyniłem, wy nie czynicie, oni czynią.

L u d z i e gotowi. To są ludzie, którzy się już ze wszystkim załatwili, już postanowili, a teraz tylko czynią. Zwykle nie bardzo się sfatygowali, wybrali hasło przemyślane przez innych. Są już raz na zawsze izolowani, nic ludzkiego ich się nie ima, może ich spotkać nędza, mróz, kula, więzienie, tortury, szubienica — ale to ich tylko potwierdzi, nie zachwieje. Ludzie zakończeni, martwi, nudni — jednym słowem imponujący bohaterowie tacy, jakimi nam ich przekazała w przeważnej części współczesna polska belletrystyka rewolucyjna. Takimi są np. ludzie w „Miłości i boju” Daniłowskiego.

Karol Irzykowski.

KRYTYKA.

Kronika teatralna

Demostenes. Tragedja w 5-ciu aktach z prologiem Tadeusza Konczyńskiego. Muzykę napisał Bolesław Raczyński. Teatr Wielki.

Zwalczyć wszelkie przeszkody fizyczne, by stanąć u szczytu techniki krasomówczej współczesnej Grecji; przekrzyczeć ryk fal morskich, miotanych burzą, gdy się było wątłym i zająkliwym młodzieńcem — na to potrzeba niezwykłej siły woli, wytrwałości i pracy. Zdobywszy wszystkie środki oddziaływania na tłum, zużyć je wyłącznie dla dobra ojczyzny; stłumić w sobie wszelkie osobiste pragnienia i bóle, nawet ból ojcowski po stracie dziecka roztopić w radości patrjotycznej współziomków; nie schlebiać instynktom tłumu, lecz nakazywać szczytne dążenia do wolności drogą poświęcenia własnych interesów dla dobra publicznego — na to potrzeba człowieka wielkiego serca i wielkiego rozumu.

Takim człowiekiem był Demostenes.

Gdy najeźdźca macedoński podstępnie pętał Grecję, i korzystając z rozterek drobnych państw greckich, narzucał jednym swą wolę brutalną przemocą, inne zjednywał zręczną polityką, pochlebstwem lub złotem, a szerząc sprzedajność wśród wolnych obywateli Aten zyskiwał sobie popleczników ugodowców — Demostenes z całą przenikliwością wielkiego męża stanu odkrywał tajne plany Filipa i w swych filipikach zaklinał Greków aby zaniechali waśni bratnich i do użycia największych wysiłków w walce o wolność. A gdy los okrutny w bitwie pod Cheroneją zgotował klęskę Grecji, gdy Ateny wyczerpane materjalnie w długiej wojnie, pod wpływem podszeptów przekupionych zwolenników ugody z Macedonją, gotowe były skazać na banicję Demostenesa, wtedy do nowej staje walki, do walki o złoty wieniec zasługi obywatelskiej, zasługi za to, że choć okrutne były wyniki wojny, do której zagrzewał swych współobywateli, jednak przypomina Ateńczykom w płomiennej mowie, że ich przodkowie kamienowali tych, co za poddaniem się oświadczali wrogom, bo nie przekładali zdobyć

niewolę pełną szczęścia, ale oni
przeciwnie—żyć ni razu nie pragnęli,
jeśliby żyć nie mieli na wolności.

Demostenes zwycięża. Jego przeciwnik polityczny, Eschines musi uciekać z Aten. Lecz zwycięztwo to staje się dla Demostenesa wyrokiem śmierci. Bo macedończyk widzi w Demostenesie dzwon, nawołujący Greków do walki, więc postanawia zagłuszyć to wołanie i wyrwać mu serce bijące. Jedynym żądaniem Antipatra staje się wydanie Demostenesa. Handlarzom wolnością ojczyzny udaje się namówić spodlony lud do wydania.

Tak zginął Rejtan wolności greckiej, ostatni błysk zachodzącego słońca Aten, najczystszy i najwznioślejszy bohater, w którego sercu, jak w soczewce palił się wiecznie ogień miłości ojczyzny i wolności.

Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił, powiedział sobie Konczyński i, stosując do wielkiej postaci historycznej swoją znajomość teatru i swoje środki artystyczne, odtworzył główną postać tragedji tak, że jego bohater... zmalał.

Z wielkiego męża stanu, posła najkulturalniejszego narodu Grecji, już w pierwszej odsłonie na dworze Filipa, zrobił warchoła, który się wobec obcego monarchy i jego dworu, kłóci z kolegami — posłami Aten. Taki sposób przedstawienia nurtujących prądów w Atenach jest technicznie słaby, gdyż nawet

niewybrednego widza musi razić nieprawdziwość sytuacji, a jest tym bardziej zbyteczny, że tło walki Demostenesa z jego politycznymi wrogami, jest odmalowane w następnej odsłonie „w Atenach", w jego rozmowie z Fokionem, w walce z Eschinesem, choć i tu nie widać w bohaterze tragedji świętego zapału i wiary w swe czyny.

Kulminacyjnym punktem sztuki jest proces polityczny o wieniec zasługi. Jest to historyczna walka między Eschinesem i Demostenesem, walka nikczemnego przedawczyka i gorącego patrjoty. Widz przygotowany na rzeczy i sprawy wielkie, oczekuje wrażeń głębokich i doznaje zawodu. Zamiast potężnych słów i szerokiego giestu, dają mu dwie długie zręczne mowy adwokackie i w dodatku, w takim wykonaniu aktorskim, że można się dziwić, dlaczego właściwie zwyciężył Demostenes, a nie Eschines. A na tej chwili właśnie kończą się już dzieje Demostenesa — bohatera i męża stanu Grecji i rezygnują się tragiczne dzieje człowieka, którego wielka dusza jeszcze raz zabłyśnie w chwili jego śmierci na progu świątyni Posejdona.

Za podjęcie tematu wzniosłego, za kilka scen barwnych i mocnych, należy się wdzięczność Konczyńskiemu, gdyż... in magnis et voluisse sat est.

Kilka słów o wykonaniu.

P. Tarasiewicz, wykonawca roli głównej jest znanym i cenionym artystą, który chlubnie może i powinien pracować na scenie pierwszorzędnej. Nie rozumiem jednak, po co właściwie został wypożyczony do roli Demostenesa. Nasz personel dramatyczny męski ma tak wysoką kulturę teatralną i tyle sił, które z powodzeniem zupełnym mogłyby odtworzyć tę postać, że potrzeby zaciągania tej pożyczki słuchacze nie odczuli.

Knake - Zawadzki, Nowicki, Roland, Śliwicki i inni — mają naprawdę o wiele więcej danych do odtwarzania postaci porywających mówców. Głos p. Tarasiewicza dość matowy o bardzo pięknej dykcji nadaje się przedewszystkim do ról rezonerskich. Demostenes w odtworzeniu p. Tarasiewicza nie był ani bohaterem, ogniskującym na sobie uwagę i podziw widza, ani porywającym, mówcą, był raczej niezdecydowanym, nie wierzącym, w to co mówi, złamanym człowiekiem.

Znakomitym, silnym w wyrazie, pełnym zapału— był Eschines p. Staszkowskiego i górował nad główną postacią tragedji nie wyposażoną należycie ani przez autora, ani przez odtwórcę.

Strona dekoracyjna była artystycznie wykonana przez St. Jasieńskiego, a sceny zbiorowe i praca reżyserska p. Bednarczyka zasługuje na uznanie.

Klemens Borucki.

Henryk Kistemaeckers: „Handlarz szczęścia".

Teatr Mały.

Współczesny dramat (zachodnio-europejski naturalnie) wyłamuje się coraz bezwzględniej z pod protektoratu, z pod wszelkich nawet wpływów sztuki i żegluje coraz otwarciej pod znakiem „literatury" wskroś flukty upodobań pleno titulo publiczności. A dzieje się to sposobem dwojakim: 1-o przez kompromis artysty redukującego publice gwoli wszelkie twórcze elementy w dramacie do minimum i naginającego (często nieudolnie) swój indywidualizm do ram, w jakie go umieściły poglądy popularnej a wpływowej krytyki; 2-o przez sceniczne utwory, że ich tak nazwę, „ludzi teatru" („homme de théâtre"), pisarzy na miarę Sardou, doskonałych fabrykantów dramatycznych, wyzyskiwaczy sensacji, szlifierzy djalogu, komedjurgów drastyczności, pyrotechników efektu, słowem, majstrów od „literatury" dramatycznej, ze sztuką nic wspólnego nie mającej. Panowi ci to — w pierwszej mierze wytwór warunków handlowych: wzmożonego popytu na widowiska w wielkich centrach Zachodu, następnie zaś to — rezultat gustów współczesnej szerokiej publiczności, traktującej teatr tylko jako pokolacyjną rozrywkę (Paryż zwłaszcza), czyhającej na sceniczne odźwierciadlania aktualnych skandali, nienawidzącej ironji lub niedomówień, wymagającej prostolinijności posuniętej do prostactwa, wreszcie z łezką lub szczęśliwie melodramatycznego zakończenia. Że publiczność tworzy tu własną literaturę, (per procura „ludzi teatru") dowodem niech posłuży fakt, że w prawdziwej sztuce rzecz dzieje się odwrotnie.

Klasycznym przykładem takiego produktu scenicznego jest sztuka p. Henri Kistemaeckersa p. t. „Handlarz szczęścia" grana obecnie z dużym powodzeniem na scenie teatru Małego. Że w tym wytworze współczesnej „literatury" dramatycznej francuskiej o nic nie idzie, z niczego się wychodzi i do niczego nie dąży prócz zgrabnego uscenizowania pewnej historji o pewnym panu, który... i t. d. — sprawdzianem słowa samego autora: „Komedja moja", rzec miał: „to ujęte w formę akcji opowiadanie o zwykłej przygodzie „(Ma comédie est le récit, en action, d'une simple aventure. Elle ne prétend à aucune thèse, à la solution d'aucun problème. C'est une petite aventure. — L'Illustration Théatrale Nr. 164 — 19/XI — 1910 r.). Aliści przy całej swej „szczerości" pojmuje autor, że jednak... panie tego... scena obowiązuje choćby... do obłudnego udawania czegoś więcej; nie wyrzeka się więc i „filozofji" w swej sztuce, o ile by ta zabłąkała się („filozofja", nie sztuka) do jego komedji, gdyż to już „nie jest jego winą" (oh! oh!); w zakończeniu podkreśla ze skromnością „wyjątkowość" typów w swym utworze i ich oryginalność — —

Przyjrzyjmy się więc „Handlarzowi" p Kistemaeckersa ze strony rekomendowanej przez autora.

„Opowiadanie w formie akcji o pewnej zwykłej przygodzie", jak to jeden młody a szlachetnego serca miljoner zakochał się w aktorce z wzajemnością (aktorki dość często płacą wzajemnością szlachetnym miljonerom), jest w istocie przygodą dość zwykłą.

„Tchnienie filozofji" („un souffle, un rien de philosophie") w sztuce brzmi: nie należy ludzi par force uszczęśliwiać, gdyż albo natura ludzka, zachłannie żądna, rozszerzać będzie horyzonty swych pragnień aż w rezultacie dojdzie do etapu niemożliwości spełnień i znów uczuje się nieszczęśliwą — (dowodem Ginetta); albo uszczęśliwianie ludzi złotym potokiem może się łatwo z swym rozminąć celem i przez nieumiejętne uregulowanie prądu spływać na nieponiów i wyzyskiwaczy (dowodem przyjaciele bohatera); albo li wreszcie uszczęśliwianie danej jednostki może być jednocześnie unieszczęśliwianiem osób najbliższych tejże jednostce. (Jakób Ferrier i jego żona). „Wiew" ów filozoficzny srogą konkurencję czyni sentencjom w kaligraficznych wzorkach, o ile że autor zaaplikował go swej sztuce w formie aforyzmów, i w wzorkach też byłby na właściwszem miejscu, — chociaż nie — bo wówczas ze sztuki pozostałby tylko szkielet — zwykła przygoda i autor rozminąłby się z gustem swej publiki, preferującej piernik z migdałkiem miast bez takowego.

Pozostają wreszcie owe „wyjątkowe typy" („êtres exceptionelles"). Wyjątkowego bohatera bardzo słusznie jeden z warszawskich krytyków wywiódł od harun-al-raszydowego Nuddredyna, który „czyniąc dobrze.. doznał zawodów i rozczarowań, choć zdobył szczęście osobiste" — zresztą pierwowzór Ireneusza Brizay żył i działał na oczach samego autora „Handlarza", — był nim przed kilka laty (dziś już zmarły) młody Lebaudy, miljoner, człowiek swego czasu tak popularny w Paryżu jak dziś p. Lepine, prefekt po-

licji. Ma więc sztuka i pewien zapaszek sensacji, zwłaszcza, że bohdanka p. Brizay p. Monice Meran i jej stosunek do bohatera jest odzwierciedleniem romansu p. Lebandy'ego z jedną z gwiazd scenicznych paryskich (nazwiska już nie pamiętam). Następne typy—to arcymiljoner i arcyerotoman starzec Maumelon, aktorka Linetta eks-statystka teatralna zakochująca się na zabój w swym dobroczyńcy Brisay'u (tym razem bez wzajemności) i poczciwy a nieszczęśliwy przez swą brzydotę komedjopisarz Fortunet, — wszystkim tym „typom wyjątkowym" genealogje od Dumasów-synów, Sardou'ów, Murger'ów, Seribe'ów a Augier'ów wywieść łatwo, choć nie warto.

Elementy powyższe ujęte są formą akcji z całym majsterstwem roboty i znawstwem sceny (dla szerokiej publiki).

Sytuacje przyjemne, dramatyczne, sytuacje tkliwe, z lekkim pieprzykiem lub zgoła poczciwe, rozwijają się jak z kłębka, mienią składnie, ustępują zgrabnie miejsca następnym i z łezką a melodramatycznie się kończą. Żadnej ironji, żadnych zgrzytów, niespodzianek, brutalności, ani mglistych wzlotów lub, broń Boże, jakichś „nowych dreszczów" (a prawda jest — całkiem nowa katastrofa z aeroplanem za sceną), jednym słowem nic coby mogło psuć kontenans widza, a wszystko, aby mu pozwoliło przyjemnie spędzić wieczór. Sztuka też obliczona była na powodzenie, może na nie liczyć i ma je.

Kazimierz Wroczyński.

Maciej R. Wierzbiński: **Kniaź i Księżna**, romans z XVIII-go wieku. 2 tomy, z portretem autora. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

W poprzednich utworach p. Wierzbińskiego nie można było dostrzec wyraźnego talentu; w obecnym natomiast widzimy wyraźny — brak talentu. Trudnoby sobie było wyobrazić, nie znając powieści p. Wierzbińskiego, jak mało da się powiedzieć czytelnikowi na przestrzeni 600 stron o dwojgu ludzi, o których przecież autor ani na chwilę nie przestaje mówić. Dowiadujemy się, że księżną jest Izabella Czartoryska, jenerałowa ziem podolskich, a kniaziem Mikołaj Repnin i... że coś tam między nimi zaszło, a potym się skończyło, ale w jaki sposób, na mocy jakich spraw duchowych, co to były za charaktery, jakie żywioły, jakie struny grały w tych ludziach, to z powieści (600 str.!) napróżno staralibyśmy się odgadnąć!

J. T.

Tadeusz Wyganowski: **Wśród tajg Syberyjskich!** Nakład drukarni L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Warszawa, 1911, Cena k. 90.

Autor, udając się za Ural, żegnał żalem i łzami graniczny słup Europy, żywiąc jaknajciemniejsze przeczucia co do warunków swego życia w Azji.

Po kilkuletnim atoli pobycie, jak sam powiada, wyrobił sobie zupełnie inne zdanie o Syberji. „Nie przeklinajcie—woła on—tych przepięknych krajów:

„Gdzie mroźne wiatry krzepią dusze, ciało,
Gdzie hojnie złoto natura rozsiała,
Gdzie lud surowy, prawych obyczajów!
Nie przeklinajcie tych przepięknych krajów!"

Czytelnik pobłażliwie wybaczyć winien p. Wyganowskiemu ten niezręczny wierszyk; zapoznawszy się z treścią jego nowel, nie odniesie on wprawdzie satysfakcji estetycznej, ale rozszerzy zakres wiedzy swej o tajemniczych żywiołach, o dzikich puszczach *Dalekiego Wschodu*, z których przed sześciu laty rozegrzmiał sygnał wolności, a dzisiaj nadciąga w jęku dzwonów pogrzebowych — dżuma.

J. T.

„Wybór pism Guy de Maupassanta".

Pod takim tytułem księgarnia Gebethnera i Wolffa przystąpiła do wydawnictwa, którego brak w literaturze polskiej dawno dał się odczuwać. Utwory Maupassanta należą dziś do skarbca literatury powszechnej; stanowią one istną kopalnię spostrzeżeń psychologicznych i nawet uczeni tej miary, co Forel, nowelami jego ilustrują swe tezy, dotyczące zagadnień osobowości ludzkiej. „Wybór" obliczony jest na 15 — 18 tomów, z których każdy będzie stanowił odrębną dla siebie całość. Dotychczas ukazały się cztery tomy: trzy zbiory nowel (*Kulka łojowa—Prawdziwa hist orja — W gabinecie*) oraz powieść *Nasze serce*. Wydawnictwu nic zarzucić nie można, prócz nadto wysokiej ceny (1 rb. 20 kop. za tom). Przy cenie o połowę tańszej, utwory Maupassanta, dzięki bogactwu zawartych w nich sytuacji życiowych i mistrzowskiej fabule, zwycięsko walczyć mogłyby z najazdem Sherlocka-Holmesa, słusznie przez *Słowo* przezwanego, z uwagi na rozmiar poczynionych przezeń spustoszeń w dziedzinie smaku estetycznego — Charłakiem Szelmosem.

J. T.

Zygmunt Wasilewski: **O sztuce i o człowieku wiecznym.** Lwów. Rok 1910. Nakładem Tow. Wydawniczego.

„Umysłowość nasza — pisze autor — od stu lat poddająca się kulturze literackiej za podnietą wielkich poetów, a z powodu właściwości rasowych odznaczaczająca się wybitną wrażliwością poetycką, skłonna jest uważać poezję za mistrzynię życia. Z tego powodu zagadnienia dotyczące psychologji piękna i sztuki są u nas stale aktualne i, jak nigdzie może, zagmatwane".

Z jednej strony przypisywanie poezji znaczenia praktycznego, jako objawienia, syntezy i przewództwa, spowodowało wiele nieporozumień, z których pewne doprowadziły do sekciarstwa; z drugiej zaś strony, przez krańcowość reakcji, obniżano niesłusznie dodatni wpływ romantyzmu na powstawanie naszej samowiedzy.

Zadanie do rozstrzygnięcia tym jest trudniejsze, że psychologja czynności estetycznych, do której zwracamy się o pomoc w badaniach, pozostaje dotąd w kolebce; dopóki dział ten nie zostanie opracowany, póty całkowite obliczenie człowieka nie będzie możliwe.

Autor, zapowiadając w osobnej pracy uzasadnienie swego poglądu na psychologję piękna i sztuki, daje tymczasem połączone z sobą luźnie pod względem formalnym, ale jedną myślą przewodnią związane przyczynki do poznania współczesnej duszy polskiej i jej zadań.

Książka niniejsza wiąże się wewnętrznie z poprzednimi pracami p. Wasilewskiego, jak: „Śladami Mickiewicza", „Od romantyków do Kasprowicza", „Listy dziennikarza w sprawach kultury narodowej"— i stanowi w tej serji tom czwarty.

Co do jej planu: na początek autor dał rozdział o zainteresowaniach umysłowych w kierunku bajki, aby tym silniej uwydatnić w następnych rozdziałach odrębność czynników czysto estetycznych, działających w poezji; potym wskazuje granicę między poziomami poezji i czynu, wreszcie zaznacza kierunek, w którym szukać należy syntezy.

Syntezę ową autor znajduje na drogach twórczości Mickiewicza, który wszelako zasadę jej odkrył nie przez czyny artystyczne, ale jako rewelator ducha narodowego. Synteza ta bowiem nie jest pomysłem filozoficznym, ani literackim aforyzmem; synteza czynu i poezji — to fakt psychiczny, dokonywający się w duszy tworzącej życie.

„Do tej syntezy, leżącej w działaniu, dorość — jest właśnie zadaniem czasu naszego" — konkluduje p. Wasilewski.

Poruszając zagadnienia doniosłe i pilne, autor wykazuje głęboką znajomość dziejów ideologji narodowej, nie uwzględnia natomiast w stopniu dostatecznym podłoża społecznego twórczości literackiej i razi zaniedbaniem szerszego tła kultury europejskiej, niezbędnego dla uwydatnienia, wszechstronnej koncepcji zjawisk ducha narodowego.

W. R.

Z muzyki.

W lutym upłynęło dwa lata od chwili tragicznej, gdy Mieczysław Karłowicz, porwany śnieżną lawiną, śmierć znalazł w Tatrach. Smutną tę rocznicę Warsz. Tow. Muzyczne uczciło koncertem, złożonym wyłącznie z dzieł wielkiego naszego kompozytora w wykonaniu Warsz. Ork. Symfon. pod dyr. Grzegorza Fitelberga oraz p. Keniga (skrzypce) i p. Cygańskiej (śpiew). Słuchaczy stawiło się dużo, jednak sala Filharmonji nie była zapełniona tak szczelnie, jak na koncertach rozmaitych „gwiazd" artystycznych. Pomimo to z pewnością rzec można, iż muzyka Karłowicza jedna sobie stopniowo coraz liczniejszy zastęp wielbicieli i zdobyła już, że tak powiem, prawo obywatelstwa, którego odmawiano jej u nas z początku. Sypały się wtedy na młodego kompozytora zarzuty, iż sprzeniewierza się mowie ojczystej, wzorując na niemieckiej, iż nie czerpie z bogatej skarbnicy pieśni ludu, co nakazuje tradycja i katechizm naszej moralności muzycznej, słowem, iż nie jest „taki nasz" i t. d., i t. d.

Tymczasem Karłowicz niespodziewanie umarł, t. j. spełnił to, czego przedewszystkim wymaga społeczeństwo nasze od swoich wielkich ludzi, w dodatku zginął śmiercią tragiczną, o której mówiono i pisano wiele, komentując ten straszny wypadek w najrozmaitszy sposób. Fakt ten zwrócił powszechną uwagę na postać zgasłego kompozytora, wpłynął też bezwątpienia na stanowisko, jakie zajęła wobec jego twórczości szersza publiczność, a nawet zjednał dziełom Karłowicza daleko przychylniejszą, sprawiedliwszą ocenę krytyki.

Zapewne, każdy talent zanim wkroczy na drogę twórczości samoistnej, zanim odnajdzie swój kierunek właściwy, przejść musi epokę wzorowania się, naśladownictwa nawet. Pod tym względem Karłowicz nie stanowił oczywiście wyjątku, więc w dziełach jego znajdujemy wpływ wspaniałej, potężnej muzyki Wagnera oraz techniki kompozytorskiej Ryszarda Straussa. Jednak stopniowo wpływy te zaczęły słabnąć i w ostatnich swych dziełach daje już nam Karłowicz muzykę od nich wyzwoloną. I w tej właśnie chwili, gdy talent młodego muzyka dojrzał i zmężniał, gdy przebył już okres krytyczny i odnalazł swój kierunek, nielitościwy los kazał mu umilknąć na zawsze, przynosząc śmierć niespodziewaną. Któż odgadnie, do jakich wyżyn wzniósłby się młody, śmiały talent, zapowiadający się tak niepospolicie! Któż potrafi ocenić stratę, jaką muzyka nasza poniosła?

Pod sztandar symfonji nowożytnej zaciągnął się nasz kompozytor i w tym niemal wyłącznie kierunku tworzył. Poza pięknym koncertem skrzypcowym, szeregiem smętnych, owianych melancholijną zadumą pieśni i jednym zdaje się tylko utworem fortepianowym (preludjum i fuga podwójna), pozostawił Karłowicz kilka poematów symfonicznych, wśród których wspaniałym „Pieśniom odwiecznym" należy bez zaprzeczenia przyznać pierwszeństwo pod każdym względem. W istocie jest to dzieło potężne, przemawiające do słuchacza głębokością, powagą myśli i szczerym wyrazem. Ostatnie dzieło Karłowicza „Dramat na maskaradzie" nie zostało przezeń skończone, właściwie zainstrumentowane, chociaż w rękopisie znajdują się już pewne co do tego wskazówki. Zinstrumentowaniem tego poematu, który poznać chcielibyśmy jaknajprędzej, zajął się Grzegorz Fitelberg, widocznie jednak nie ukończył jeszcze swej pracy.

O technice kompozytorskiej Karłowicza zbyteczne nawet wspominać: kształcony w szkole znakomitego Urbana, następnie wytrwałą pracą samodzielną zdobył on wiedzę i umiejętność niepospolitą, której nikt chyba z naszych kompozytorów nie może dorównać. Logiczna, spoista budowa kompozycji, piękna inwencja melodyjna, której Karłowicz przypisywał wagę pierwszorzędną, nie zaniedbując jej nigdy jak dzisiejsza większość kompozytorów tegoczesnych, wreszcie wykwintna harmonja i przepyszna instrumentacja — oto cechy wyróżniające zaszczytnie Karłowicza, w osobie którego nasza muzyka symfoniczna straciła największego swego przedstawiciela.

Oczywiście w szkicu pobieżnym nie mogłem wyczerpać tematu i scharakteryzować wyczerpująco twórczości wielkiego naszego muzyka. Nie kusiłem się zresztą o to, chciałem tylko ze swej strony dorzucić również słów kilka w smutną dla naszej sztuki rocznicę.

A. Zabłocki.

NA DOBIE.

Józef Montwiłł.

(Wspomnienie pozgonne).

W chwilach najcięższej reakcji na Litwie, wyszło na zachwaszczoną niwę społeczną dwuch oraczy, ufnych w swe siły, po litewsku wytrwałych i na zgliszczach zaczęli odbudowywać gmach lepszego jutra. Oraczami tymi byli bracia Montwiłłowie: Józef i Stanisław.

Trudno jest w kilkunastu wierszach ująć działalność przedwcześnie zmarłego Józefa Montwiłła. Nie było dziedziny pracy na Litwie na niwie społecznej, ekonomicznej, politycznej, gdzieby nie wkraczała czynna inicjatywa zmarłego. Bezustanku zakładał on węgielne kamienie pod gmach przyszłości. A czego dotknął, tam poczynał się ruch i zdrowie. Wszędzie niósł nadzieję zwycięztwa i wszędzie przekonywał, że nie ma wysiłków bezskutecznych. Był wyobrazicielem owego społecznego optymizmu, który sam jeden tylko mocen zmienić życie. Pragnienia jego przyoblekały się w działanie. Oto krótki spis prac Józefa Montwiłła: Bank Ziemski i Bank Handlowy pchnął na nowe tory i stworzył z nich placówki kultury. Bazar rzemieślniczy i kredyt rzemieślniczy — to owoce jego społecznej działalności. Szkoła rysunkowa i Szkoła organistów powstały za pieniądze Montwiłła. On zainicjował miasta—ogrody i przeszło 100 domów stanęło na Snipiszkach i Pohulance, przedmieściach Wilna.

Na wzór słynnych ogrodów d-ra Jordana, Montwiłł zainicjował we własnym parku na Rosie zabawy dziecięce. Towarzystwo Opieki nad dziećmi, Towarzystwo Opieki nad Biednymi, Giełda pracy miały w nim niezmordowanego pracownika i protektora. „Lutnia" powstanie swoje zawdzięcza Montwiłłowi. Towarzystwo Przyjaciół Nauk zawdzięcza mu swoją siedzibę. Szkoła tkacka w Sztach, to jego inicjatywa. Urządza wystawy Dziecka, Urządzeń mieszkań, popiera wystawy malarskie, stwarza Towarzystwo urzą-

dzeń miejskich. Najwspanialszym klejnotem w jego pracy społecznej jest fundacja braci Montwiłłów — Towarzystwo popierania instytucji społeczno filantropijnych, mające na celu dawanie inicjatywy w organizacji wszelkich nowych towarzystw na polu pracy społeczno - filantropijnej oraz wspierania zasiłkami pierwszych kroków na drodze ich samodzielnego rozwoju. Towarzystwo to ma zapewniony kapitał 100 tysięcy rubli.

W dziedzinie polityki żywił przekonania biegunowo sprzeczne z naszymi i niekiedy nawet wykraczał poza szranki, których opuszczać nie wolno było, zdaniem naszym, nawet konserwatyście — czynił to jednak, jak wiemy, w dobrej wierze dla ukochanej przezeń Litwy. Należy podnieść, że w chwilach walk narodowościowych stał on ponad partjami i umiał łagodzić często antagonizmy nacjonalistyczne. Wróg frazesu, patrzał jednak z rosnącym niepokojem na zatargi sąsiedzkie.

Józef Montwiłł — to postać spiżowa, czekająca na historyka, który w biografji jego zamknie całą działalność pracy społecznej i ekonomicznej na Litwie w ostatnich kilkunastu latach.

Nie widzę wprost zastępcy, któryby ujął ster w swe ręce wszystkich zapoczątkowań Montwiłła. Wielka to klęska, ze umarł tak wcześnie.

Piotr Zubowicz.

Święte przymierze.

Zawarła je właśnie rodzina Dulskich ze Lwowa z warszawskim rodem Lewentalów. Oba te możne i świątobliwe klany podjęły w imię Boże walkę z galicyjskim Klubem Reformy demokratycznej, którego tryumf we lwowskiej radzie miejskiej groziłby pono klęskami, gorszymi od morowej zarazy.

Istotnie: to miasto, gdzie wszechwładne *Słowo Polskie* rozporządza zastępem wyćwiczonych i karnych ludożerców, ta ziemia obiecana wszechpolskiego kołtuństwa, nigdy niewysychające źródło swojskich Panam — miałżeby teraz Lwów zdradzić swoje powołanie, które każe mu stale osiągać rekord zdziczenia i zepsucia naszej myśli politycznej?

— Nigdy! wrzasnął chóralnie obóz pani Dulskiej, gotując się do boju, a ze skwapliwą odsieczą pośpiesza mu warszawska filja Dulszczyzny.

Wytoczono działa ciężkiego kalibru, otwarto naoścież arsenał niezawodnych i wypróbowanych środków: potwarzy i kłamstwa. Pod względem biegłości w miotaniu tych cuchnących pocisków idą w zawody oba naczelne pisma: *Słowo Polskie*, organ p. Dulskiej i *Kurjer Warszawski*, organ p. Lewentalowej.

Pierwszemu należy się zresztą palma pierwszeństwa w akcji czynnej, bo nasz oględny kurjerek woli poprzestać na rabskim wtórzeniu endeckiej gadzinówce. Ta zaś, stosując nad Pełtwią tę samą dosłownie metodę, jaką tu, nad Wisłą, stosowano przed 4 laty, mianuje ryczałtem wszystkich swoich przeciwników — „żywiołem niepolskim", co jej niezmiernie ułatwia zadanie. Zamiast bowiem obrony swego programu, lub dość kłopotliwego wyłuszczania zalet swoich kandydatów, ostatnio wplątanych w jeden z tych ohydnych skandali, będących właściwością Lwowa — *Słowo Polskie* pisze poprostu krótką formułę z recepty endeckiego *doppingu*, którą *Kurjer Warszawski* wraz podchwytuje:

„Przed społeczeństwem polskim we Lwowie stanęło groźne pytanie: czy Lwów ma pozostać nadal polskim, czy mają rządy stolicy kraju w polskich pozostać rękach, a nieodzowna reforma wyborcza czy ma wzmocnić siłę polskiego w mieście żywiołu, czyli też rządzić ma na ratuszu lwowskim spółka opierających się o sjońsko-rusko-socjalistyczne masy „spółka służących celom separytyzmu żydowskiego finansistów obcy najczęściej reprezentujących kapitał".

Że „najbezwstydniejsze słowo polskie" — bo ten epitet przylgnął do lwowskiego organu endecji — potrafi w jednym zdaniu skondensować potrójny ekstrakt kołtuństwa — rzecz to wiadoma.

Nierównie jest jednak ciekawszym, że *Kurjer Warszawski*, który tutaj popiera asymilację i zajmuje stanowisko przyjazne względem żydów spolszczonych, nagle poczuł żywiołową awersję do p. Aszkenazego i z poduszczeń p. Dulskiej wręcz odmawia... polskości wiceprezydentowi miasta Lwowa!

Sądzimy, że *Kurjerek* postradał busolę na rozbujałych fluktach kampanji wyborczej.

Wolno mu sprawować rządy na literackim Parnasie, kierować armją reporterów i trząść kulisami teatru — ale p. Hortensja Lewentalowa w roli rozdawczyni patentów na polskość i patrjotyzm — zakrawa coś na groteskową scenę z *revue*, której można wróżyć powodzenie.

My i oni.

Głośny zatarg p. Szczepana Jeleńskiego z klerem katolickim stereotypowy znalazł epilog w postaci bulli potępiającej „Zarys Nowego Programu" i skreślonej miarodajnym piórem ks. biskupa Ruszkiewicza.

Niezwłocznie potym redaktor *Roli* uczuł niezmierną skruchę i wyrzekł się swego dziecięcia w solennej enuncjacji, dodając nie bez ironji — zapewne mimowolnej — że w swych dociekaniach i wnioskach oparł się był na dziełach najznamienitszych mężów Kościoła, co inne mogło mu rokować przyjęcie...

Mimo aktu skruchy p. Szczepana pisma klerykalne nie przestają szarpać „nowego programu".

Szczególnym zbiegiem warunków komentarz *Prawdy* (Nr. 2) wysunięto, jako główny niemal atut w tej nierównej grze; czyżby rzecznicy „starego programu" dziwili się istotnie, że *Prawda* staje po stronie wolności badania i przeciw rutynie dogmatycznej?

Myśl Katolicka, ukazując p. Jeleńskiego pod opiekuńczym skrzydłem *Prawdy*, dodaje ze znaczącym naciskiem:

„... w roku 1907 Clemenceau subwencjonował dziennik *France Catholique*, redagowany przez modernistę ks. Toiton (chyba Toutain? przyp. *Prawdy*). U nas *Prawda* chwali „Nowy Program" *Roli*. Jest w tym pewna analogja, tylko, naturalnie, z tą różnicą że *Prawda* nie ma tej powagi, jaką miał Clemenceau, ani też akcja tutejsza nie dorasta kolan akcji modernistów francuskich".

Nie próbując bronić powagi naszego pisma w zestawieniu ze słynnym premierem francuskim, który zresztą nigdy nie grzeszył zbytkiem powagi, musimy zauważyć, że „akcja" tutejszych żywiołów prawowiernych... na Jasnej Górze przerosła wszystko, co widziano we Francji nawet w XVII i XVIII wieku.

Myśl Katolicka w dalszym ciągu dochodzi do takich konkluzji:

„Jeżeli bezwyznaniowcy nie zwalczają t. zw. neo-chrześcian, to tylko dlatego, że nie czują w nich swoich przeciwników ideowych. Przeróżne neo-chrześcianizmy, modernizmy, *Sillony*, Nowe Programy i t. p. „niezwykłości" nic im nie przeszkadzają; przeszkadza tylko czysty, prosty, stary, zwykły katolicyzm. To jest ich wróg, tego zwalczają z całą zawziętością i zwalczać będą do końca świata".

Organ „nadkatolików" z Częstochowy myli się najzupełniej. Właśnie „neo-chrześcianizm" jest w stanie wytworzyć i sformować ideowych naszych przeciwników, a jeśli mimo to popieramy w Polsce wszelki twórczy ruch religijny i reformatorski — najlepszym jest chyba dowodem, że wyżej nad własne poglądy stawiamy dobro kraju.

„Ideowych przeciwników" dziś próżno szukamy dokoła siebie. Widzimy tylko bezmyślny fetyszyzm, tępą dewocję, czelne szalbierstwa, handel świę-

tościami, zastój, rutynę, ciemnotę, mrok, mrok nieprzebity — który nam wprawdzie „przeszkadza" ale „przeszkadza" też całemu narodowi, bo mu przytłacza pierś i mózg otumania...

To nie jest „ideowy przeciwnik" lecz wróg faktyczny, podobnie jak alkoholizm, pauperyzm i prostytucja nie są „ideowymi przeciwnikami" kultury, lecz ślepo wrogimi czynnikami...

Celem naszym jest zupełna wolność sumienia, polegająca przedewszystkiem na tym, by ludzie, wychowani w religijnej bezmyślności, poznali, co to jest myśl religijna, co to jest religja wogóle, gdzie leżą jej źródła i ujścia.

Dlatego też — i ten wskaźnik taktyczny jest najpewniejszą rękojmią naszej siły — my, wolni myśliciele, witamy przychylnie wszelki ruch religijny, pojmując zarazem, że boją się go jak ognia ci, co najpatetyczniej wyklinają materjalizm dzisiejszy tudzież brak żarliwości pobożnej w narodzie, zwłaszcza tej, co się ujawnia w zewnętrznych pozorach i brzęczącej monecie.

Z za kulis Watykanu.

W różnych punktach świata wzeszła rzucona nieznacznie pogłoska, że papież z całym swoim dworem porzuca Rzym i zjeżdża na stały pobyt do Częstochowy francuskiej, a mianowicie do Lourdes, gdzie w pobliżu cudownej groty, pod opieką władz masońskich, powstać ma jakoby nowe, udzielne, papieskie Monte Carlo...

Nietyle zresztą ten pomysł niedorzeczny zwrócił na siebie uwagę, ile fakt, że kolportują go sfery klerykalne i te organy prasy, które są z nimi w powinowactwie. Oto np. *Gil Blas* paryski, będący w zażyłej komitywie z opozycją wsteczną, odkąd przeszedł na własność popularnego w Warszawie p. de Noussanne'a, d. 25 z. m. zamieścił sążnisty artykuł w tej sprawie pióra niejakiego Giacoma Consalvi, z kardynalskiej rodziny Consalvich, opatrując go takim komentarzem:

„Ktokolwiek zna sprawy rzymskie i obecną ich fazę we Włoszech i Wieczystym Mieście, ten nie zaprzeczy, gdy powiemy raz jeszcze, że wpływy wolnomularskie, ferment przewrotowy tudzież niepewność położenia, wynikła z Prawa Rękojmi, wreszcie dolegliwości zamknięcia, które przedłuża się w nieskończoność — zmuszają papiestwo do przewidywania takiej chwili (*envisager le moment*), kiedy szefowi katolicyzmu wypadnie opuścić Watykan, by w życiu współczesnym wziąć udział czynny".

Nawiasem trzeba zauważyć, że t. zw. prawo Rękojmi Pontyfikalnych, które określa *modus vivendi* Watykanu z Kwirynałem, liczy okrągłe 40 lat istnienia, a co do „czynnego udziału" papieża w życiu współczesnym — niestety, daje się on dotkliwie we znaki szczerze nawet lojalnym katolikom, których zapowiedź *Gil Blasa* gotowa przejąć dreszczem przerażenia...

Kawaler Giacomo Consalvi, po dłuższej naradzie z dostojnikami Kurji, nadesłał redakcji *Gil Blasa* nową, jeszcze sensacyjniejszą epistołę tej treści:

„Zawiadamiam was i pozwalam ogłosić, jeśli uznacie to za stosowne, że cesarz Wilhelm II interesuje się gorąco spodziewanym wyjazdem Papieża i ostatnio, za pośrednictwem dwuch wybitnych katolików z Południowych Niemiec, starał się skłonić Papieża do zamieszkania w *Strasburgu*, gdzie papiestwo znajdzie się w lepszym geograficznym położeniu, niźli we Włoszech, i zkąd promieniować będzie swobodnie".

Podobnej treści wzmianki ukazały się tu i owdzie w prasie klerykalnej, docierając aż do Polski i budząc wszędzie niedowierzanie i zdziwienie.

Najwidoczniej, te potworne kaczki legną się w oficynach papieskich. Ale co za interes ma Kurja, puszczając je na cztery strony świata?

Rozwiązanie zagadki.

Jesteśmy w stanie ciekawość naszych czytelników zaspokoić. *Kampanja wyborcza* — oto w dwuch słowach rozwiązanie zagadki...

Jak wiadomo, Rzym jest w ręku postępowców, rada miejska na Kapitolu wyraża tendencje wolnomyślne większej części mieszkańców Wieczystego Grodu, a prezydent Ernest Natan nie kryje poglądów swoich na papiestwo. Zwłaszcza ostatnie jego wystąpienie rozdrażniło Kurję, która postanowiła zwyciężyć na najbliższych wyborach i w tym celu różne wypróbowane puszcza w ruch środeczki, aby zawczasu wytworzyć odpowiedni nastrój i grunt dla walnej kampanji przygotować.

Wspominaliśmy już uprzednio („Święty handel", *Prawda* Nr. 2), że papież postanowił rok 1911, pięćdziesiątą rocznicę odbudowania Włoch, uznać za rok żałoby dla całego świata katolickiego, przyczym liczba posłuchań u papieża ma być znacznie zmniejszona, pielgrzymki zaś do Watykanu będą zupełnie odwołane...

Warszawski *Przegląd Katolicki*, nie gorzej wi dać od nas poinformowany, z dziwną otwartością wyłuszczył intymne motywy tego kroku:

„Stolica św. powzięła i ogłosiła postanowienie, które jest jedyną właściwą odpowiedzią na zuchwałe zniewagi, miotane bezkarnie przeciw papiestwu i katolicyzmowi przez burmistrza Nathana, niemniej jak i przeciw samemu faktowi, że żyd i faktyczny wódz masonerji przewodniczy na Kapitolu municypalności papieskiej stolicy. Postanowieniem tym zostają wstrzymane i zakazane wszelkie pielgrzymki do Rzymu na przeciąg całego następnego roku.

Owóż kto wybrał Nathana? Rada miejska. Kto wybrał tę radę? Ludność rzymska. A z czego przedewszystkim żyje ludność rzymska? Z podróżnych, między którymi większość stanowią pielgrzymi. Zakaz papieski wstrzyma przypływ tej złotonośnej fali, kieszenie oberżystów, przekupniów i faktorów, głosujących na masońskie listy wyborcze, pozostaną przynajmniej w połowie puste i — przy najbliższych wyborach odbije się to na owych listach niewątpliwie".

Jak widać, Watykan, nie mogąc oddziałać na ducha, bije po kieszeni ludność rzymską, by ją ukarać za nieprzychylny dla siebie nastrój; zaś *Przegląd Katolicki* pośpieszył pochwalić się spodziewanym wynikiem tego manewru... Okazuje się jednak, że nie jest on dość skuteczny i oto, chcąc już paniczny wzniecić popłoch wśród hotelarzy, kupców, woźniców i ciceronów, papież ima się nowych „forteli", jakby powiedział Zagłoba, i za pośrednictwem umyślnych ajentów puszcza w świat pogłoski o wyjeździe do Lourdes i do Strasburga...

Nie wiadomo, czy i ten fortel wystarczy; podobno biura watykańskie pracują nad nową encykliką, wymierzoną przeciw zbytkowi strojów kobiecych, co przeciągnie na stronę Kościoła liczne rzesze znękanych mężów i ojców..

Jakkolwiek bądź, jesteśmy w możności zapewnić ogół naszej publiczności, że papież nie zmieni miejsca swego pobytu.

Przedmieścia i żydzi.

Miarodajni nasi politycy, nietyle świętym ile wschodnim duchem oświeceni, chcą zastosować względem żydów rutynę zawsze zawodnych represji i ograniczeń, mających ustrzec miasta od liczebnej przewagi żywiołów „obcych" — ale żaden z tych opatrznościowych mężów stanu nie zwrócił uwagi na skupienia podmiejskie, zamieszkane niemal wyłącznie przez ludność chrześciańską i nieraz dochodzące do znacznych rozmiarów. Sprawa przyłączenia przedmieść, wlokąca się od lat kilkunastu, nabiera szczególnej a nieo-

czekiwanej wagi teraz, w dobie zatargów plemienno-kurjalnych.

Trzy przedmieścia Warszawy — Brudno, Mokotów i Czyste — liczą pospołu 160,000 głów ludności prawie wyłącznie polskiej. Jeśli dodamy do tego Wolę, to przekonamy się, że po przyłączeniu przedmieść — co zresztą wpłynie niezmiernie skutecznie i na zniżkę ceny mieszkań — nowa „wielka Waszawa" przekroczy 1,100,000 mieszkańców,a żywioł żydowski z 40 proc. zejdzio na 30 proc. lub mniej... Ta sama operacja, która nie należy do rzędu trudnych, zdziała większe cuda w Lublinie, gdzie obecnie w liczbie 70,000 mieszkańców żydzi stanowią większość, a po przyłączeniu przedmieść w przyszłym „wielkim Lublinie" o 120,000 głów, zejdą na 40 proc. To samo zjawisko wywołać można w Łodzi, gdzie stosunek ilościowy Polaków do Niemców i żydów zmieni się na naszą korzyść po przyłączeniu rozległych i ludnych przedmieść robotniczych... Współrzędnie podniesienie wielu znacznych bardzo osad fabrycznych do kategorji miast wzmocniłoby niezmiernie charakter polski przyszłego samorządu.

Na tę ważną okoliczność zwracamy uwagę naszych działaczy i całego ogółu.

Wiele motywów przemawia za najrychlejszym przyłączeniem przedmieść, ten zaś wzgląd powinien chyba górować nad innymi...

Dwór francuski.

Prof. Funk-Brentano w swojej tournée po Europie nie pominął Warszawy i w dwóch odczytach, wygłoszonych 24-go i 26-go z. m. w przepełnionej sali Muzeum, dał nam obraz życia domowego królów francuskich od zarania średnich wieków aż pod koniec XVIII-go stulecia. Głośny uczony z właściwym sobie mistrzostwem nakreślił przejście od władzy patryjarchy rodu do władzy króla; nie pominął bardzo wcześnie przejawiających się dążeń królów francuskich do niezależności od władzy kościelnej, wreszcie zaznajomił słuchaczy z urządzeniem rezydencji władców Francji, które zaczynając od skromnych zamków dawnych Kapetyngów stopniowo dochodziły do świetności Wersalu.

Odczyty były ilustrowane przezroczami, na którycz ukazywały się w zwiększenin przepyszne stare sztychy i miniatury, wyjęte z archiwów Luwru i Biblioteki Narodowej.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Ignacy Karol hr. Korwin Milewski, który zaczął od gwałcenia prawideł pisowni polskiej aby tym snadniej ujawnić rozbrat swój z ideą „jagiellońską" — obecnie wziął udział formalny w zjeździe szlachty rosyjskiej w Petersburgu, gdzie złożył też stosowną deklarację.

Myśl Niepodległa, dokonawszy ścisłej analizy dwuch broszur „szlachcica", temi słowy wita jego z ziem polskich *exodus*:

> Przypuszczając, iż pomiędzy nami a panem hrabią pozostał dystans należyty w kierunku horyzontalnym czy wertykalnym i że przyzna nam niezawodnie absolutną i nienaganną ścisłość cytat, wstrzymanie się nawet od krytyki, rzeczywiście zupełnie zbędnej, przy podaniu jedynie w wątpliwość jego różowych nadziei dygnitarskich, prócz może godności jakiegoś marszałka szlachty, pozwalamy sobie jedynie obie broszury dorzucić do naszych dokumentów XX-go wieku, zawsze bez komentarzy drukowanych, tę tylko czyniąc uwagę, iż pozostawiamy Rosjanom uznanie za słuszne samookreślenie się Ignacego Karola hrabiego Korwin-Milewskiego jako Rosjanina, natomiast kwestjonujemy słuszność przyznawania się jego do kultury polskiej, co może być panu hrabiemu w jego „dwornym" stylu „ganz Wurst", ale nam nie może być „ganz Wurst", bo wcale nie pragnęliśmy, aby Rosjanie naszą kulturę, rzekomo przez pana hrabiego reprezentowaną, umieścili w swoich dokumentach XX-go wieku

Kurjer Poranny, streściwszy krótką odysseję hrabiego i jego strzeliste afekty ku rozdawcom posad rządowych i godności dworskich, słusznie zauważa:

> Dla narodu polskiego zmiana narodowości przez niedobitków szlachty ziem rusko litewskich byłaby faktem raczej korzystnym ze względu na przyszłość naszego rozwoju. Na odwrót jednak dla państwa i narodu rosyjskiego ten nowy nabytek i warunki, wśród jakich zostaje pozyskany, przedstawiają wartość nad wszelki wyraz wątpliwą. Zwrócono już uwagę „szlachcica", który staje na czele tej akcji, że jego wychowanie, stylistyka i inteligencja uprawniają go najwyżej do ubiegania się o dygnitarstwo strażnika ziemskiego gdzieś w odległej prowincji, od biedy marszałka szlachty na Litwie, ale że stopień zaufania, jaki może w swojej nowej ojczyźnie obudzić, musi być niesłychanie wątły. Zwrócono jego uwagę, że czysto merkantylny patryjotyzm, jasne przyznanie się do dbania tylko o swój szlachecki interes i zerwanie wszelkiej łączności z Królestwem Polskim, bo owa łączność interesu nie przedstawia, obudzić musi pewne wątpliwości i w nowej ojczyźnie p. Milewskiego, która także musi żądać wierności nietylko w powodzeniu, ale i w niepowodzeniu.

Ze swej strony musimy zauważyć, że akces hr. Ignacego Karola do wszechrosyjskiego dworzaństwa zostawia nadal otwartą kwestję jego narodowości. P. Korwin Milewski bowiem nie jest ani Polakiem, ani Litwinem, ani Rosjaninem: jest papieskim hrabią i kandydatem do posad rządowych. W broszurze p. t. „Wiązanka odpowiedzi" na str. 7 ten wróg Jagiellonów twierdzi, że „szlachta stanowi naród osobny" a ziemiaństwo katolickie „powinno być szlachtą, tylko szlachtą, nic innego", zatem w myśl hrabiego Karola, winno tworzyć jakiś najemny hufiec kondotjerów i pajuków gotowych służyć więcej dającemu — aż do lepszej okazji...

* Dwutygodnik *Przełom* zadał sobie pytanie, dlaczego w Polsce postęp nie jest „popularny"? I przyszedł do wniosku, że niepopularność tę zawdzięcza swej zasadzie i taktyce, różnej od norm, uświęconych u nas rutyną zachowawczą. To też *Przełom*, który chce stworzyć nowy „popularny" rodzaj postępu, wytacza opinji postępowej i wolnomyślnej szereg zarzutów, streszczając wszystko, cokolwiek w tej materji powiedziano w pismach i kurjerkach. Ujęta tym zwrotem pochlebnym *Gazeta Warszawska* dodaje nie bez przekąsu:

> Zaauważyć wszakże należy, że podobne pojmowanie spraw politycznych z trudnością da się wyprowadzić logicznie z dotychczasowawych założeń „postępowych". Jeśli więc apostołowie nowego kierunku pragną być konsekwentni, to muszą poddać gruntownej rewizji cały swój dotychczasowy program, od początku do końca, a wówczas okaże się niechybnie, że będą musieli zerwać wszelkie nici, łączące ich z „postępem".

Godzi się również zauważyć, że grono twórców „popularnego" postępu stanowi w Polsce najmniej może popularną grupę, a ostatni występ nie przysporzy jej popularności.

* *Dziennik Powszechny* zaczyna obfitować w atrakcje, których może niejeden z warszawskich kabaretów ruchliwej jego redakcji pozazdrościć. Niedawno widziano tam „szkielet w kapeluszu" obecnie p. Miecznik wykonywa „Taniec naokoło wrzodu". Wrzodem jest oczywiście modernizm katolicki, co zaś do „tańca", ma on wieńczyć powrót autora, po krótkiej dywersji, na łono prawomyślności kościelnej, jak świadczy następujący ustęp:

Przemówił „Przegląd Katolicki“ i dowiódł tego, o co mi głównie chodzi, a mianowicie, iż *o teologji zasadnie rozprawiać mogą tylko teologowie*. Niby tak, jak o medycynie — medycy, a o prawie — prawnicy.

Publicysta *Dziennika* nie zastanowił się widać, że to porównanie nie wytrzymuje najlżejszej krytyki. Gdyby o medycynie rozprawiono tak, jak się to praktykuje wśród teologów,--dotąd leczono by nas komarowym sadłem, Pasteur byłby na stosie spalony, jako niebezpieczny nowator, a dr. Ehrlich obdarty ze skóry, jako czarownik i w dodatku żyd. Wbrew przekonaniom p. Miecznika, który się zresztą łatwo przekonywać daje, o teologji rozprawiać, i to zasadnie, mogą ci tylko, co przestali być teologami i są uczonymi, jak np. Alfred Loisy, *ci-dveant* funkcjonarjusz Kościoła, obecnie profesor w *Collège de France*.

* Grono ludzi dobrej woli założyło w Warszawie pod nazwą „Przystani” rodzaj przytuliska dla nieletnich dziewcząt, rekonwalescentek szpitala św. Łazarza, tych, które są „winne bez winy” i najdotkliwiej czują na sobie straszliwe brzemię naszej bezwzględnej i ślepej rutyny obyczajowej.

Tragiczne ich położenie charakteryzuje *Goniec* tymi słowy:

> Dokąd dziewczyna, stojąca nad przepaścią, ma pójść? Do domu św. Małgorzaty w Piasecznie? Dom ten oddany został Towarzystwu opieki nad dziećmi, które takim dziewczętom pomocy ani przytułku nie udziela. Do zakładu „Dobrego Pasterza“ pod Lublinem? Zakład ten jest tak materjalnie zubożony, bez poparcia ze strony dobroczynnie czującego, obywatelskiego ogółu w Królestwie, iż wkrótce zapewne będzie zamknięty. Do Magdalenek, które mają swe oddziały w Derdach pod Warszawą i w Częstochowie? Ależ Magdalenki, średniowiecznej surowości zakład penitencyjny, gdzie grzesznice-pokutnice rozpinane są na krzyżu niewysłowionych mąk duchowych, gdzie uśmiech na twarzy bladej, zmęczonej życiem dziewczyny, tej winnej bez winy, bywa, zdaniem kierowniczek pokutniczej pustelni, wywołany przez podszepty szatana — są miejscem tak strasznym, że z niego widok przepaści prostytucji wydaje się — naprzód niezbyt straszny, później niezbyt niebezpieczny, potym wcale nie groźny, następnie znośny, dość przyjemny, nakoniec powabny, łagodzący rozpacz dziewczęcia. Dziewczyna ucieka z tej średniowiecznej pustelni i rzuca się w przepaść. Nie ma wyboru.

Ten opis ma wszelkie cechy wiarogodności, a wynika zeń, że osobliwy zakład Magdalenek, zamiast ratować nieszczęsne dziewczyny od powtórnego upadku, pośrednio raczej pcha je do niego, dzięki metodzie „rozpinania na krzyżu niewysłowionych mąk duchowych” co jest równoznaczne z fizyczną torturą. Gdy jednak taki zakład nie spełnia właściwej roli, a raczej spełnia wręcz przeciwną, należałoby nadać mu bardziej ludzki i świecki charakter, kasując narzędzia wyżej wymienionych tortur.

* A oto jeszcze obrazek z cyklu naszego średniowiecza. Jeden z dzienników warszawskich otrzymał z Kaliskiego, od osoby wiarogodnej, wiadomość tej treści:

> Gdy w sobotę ubiegłą, przy silnej zawiei, wyszedłem z domu, przedstawił mi się widok, który poruszył mię do łez. Oto gromadkę dzieci w wieku od 8 — 9 lat zasypanych śniegiem pędzili do kancalarji gminnej strażnicy, a stąd odstawili do Konina, odległego o wiorst 16-cie na sądy. Zapyta pewnie Szanowna Redakcja, co za zbrodnię popełniły te małe dzieciaki, że stawiano je przed sądem — oto odkryto niedawno, że owe dzieciaki uczyły się potajemnie, bo szkoła nie chciała dla braku miejsc przyjąć ich (na 3 tysiące mieszkańców jest 60 miejsc w szkole).
>
> I cóż dodać mamy od siebie do tego obrazu smutnego? To tylko chyba, że wydaje się on napozór nieprawdopodobnym, a jednak w warunkach naszego życia prawdziwym i co jeszcze smutniejsze — jednym z szeregu wielu jemu podobnych.

KRONIKA.

GOSPODARKA W MIASTACH PROWINCJONALNYCH. Gospodarka finansowa miast i miasteczek Królestwa Polskiego przedstawia zjawisko niezwykłe. W europie zachodniej miasta nie mają wolnych kapitałów, a najczęściej bywają obdłużone. Berlin ma przeszło 100 mil. marek długu, Bruksela też około tego, a nawet bogaty Lipsk posiada przeszło 20 mil. długu. Przeciwnie nasze miasta i miasteczka posiadają kapitały zapasowe. Jednocześnie jednak nie posiadają najniezbędniejszych rzeczy i pozbawione są tego wszystkiego, co jest koniecznem do normalnego życia. Brak jest urządzeń, mających na celu zdrowie ludności, jako to: odpowiedniego usuwania nieczystości, dobrej wody do picia, porządnych bruków, oświetlenia, kąpieli publicznych i t. d. Stwierdzić się daje pominięcie potrzeb w dziedzinie dobroczynności publicznej — brak szpitali, przytułków, ochron i t. p.

Z danych urzędowych za r. u. okazuje się, że w większych miasteczkach gub. Warszawskiej kapitały reprezentowane były w sumach następujących: Skierniewic 65,055 rb., Grójca 8,231 rb., Nieszawy 7,656 rb. Nasielska 5,801 rb., Sochaczewa 11,047 rb., Moszczonowa 13,140 rb., Zakroczymia 2,532 rb., Błonia 2,978 rb., Nowego Dworu 14, 988 rb., Pułtuska 19,024 rb.

Z kapitałów tych miasta, pomimo licznych potrzeb i braków, korzystają tak ostrożnie, że omal większość magistratów uznała za zbyteczne wykonanie chociażby tych robót, które były objęte budżetem na rok 1910.

Zarządy miejskie w naszym kraju przy układaniu budżetów i ich wykonaniu najczęściej starają się usilnie o wykazanie w końcu każdego roku mniej lub więcej znacznej przewyżki dochodów nad rozchodami, najwidoczniej w tym przeświadczeniu, że na takim właśnie zarządzaniu funduszami polega właściwy cel gospodarstwa publicznego.

ZBIORY GLOGERA. Zbiory Zygmunta Glogera będą niebawem przewiezione do Warszawy i oddane na użytek publiczny, zgodnie z wolą zapisodawcy, którego najgorętszym życzeniem było, aby ta jego długoletnia i mozolna prca, prawie całego życia, uprzystępniona i oddana była na pożytek kulturalny naszego miasta i kraju.

Egzekutorowie testamentu, przy materjalnej pomocy pani Kazimiery Glogerowej, wdowy po Z. Glogerze, zarządzili przedewszystkim spisanie inwentarza zbiorów, gdyż te podlegały podziałowi i obecnie po ukończeniu tej pracy prof. Tadeusz Korzon, w imieniu wszystkich egzekutorów i rodziny, wezwał komit Muzeum do odebrania, przed 1-ym marca r. b., przekazanych przedmiotów, znajdujących się bądź w Jeżewie, bądź w Warszawie. Dołączony do odezwy, spis przedmiotów obejmuje 2,570 numerów, oszacowanych na rb, 3,650.

Komitet Muzeum, oceniając doniosłość legatu, dla celu szerzenia kultury krajowej, postanowił uczcić i uwiecznić pamięc Z. Glogera, przez nadanie jego imienia jednej z większych sal zbiorów, a w szczególności tej w której się mieszczą zabytki przedchistorycznej archeologji ziem polskich, ten bowiem dział zostanie najbardziej wzmożony zapisem Glogera, gdyż pośród zapisanych jest najliczniejszym co do okazów i bodaj najcenniejszym.

FRYDERYK SPIELHAGEN. W ubiegłym tygodniu w Berlinie zmarł w 82-im roku życia jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy niemieckich, Fryderyk Spielhagen. Wiele powieści jego zaliczono do najlepszych utworów w literaturze niemieckiej z końca 19-go wieku, to też Spielhagen zdobył sobie sławę wszechświatową. Najwybitniejsze powieści jego cieszyły się u nas wielkę poczytnością w przekładzie polskim. Wymienimy tu: „Natury zagadkowe”, „Hohensteinowie”, „W szeregu”, „Młot i kowadło”, „Ultimo”, „Angela”, „Sowi Janek”, „Sfinks”, „Dziecię szczęście”, „Klara Vere”, „Panienka z dworu” i wiele innych.

WYROK W SPRAWIE DZIEŁA „BÓG JEZUS". Dnia 21 lutego w szóstym wydziale karnym warszawskiego sądu okręgowego rozpatrywano sprawę Andrzeja Niemojewskiego, oskarżonego wedle § 73 cz. I. p. 2 o szereg bluźnierstw w dziele „Bóg Jezus". Komplet wyrokujący stanowili: wiceprezes Dumitraszko, oraz członkowie sądu, Kolczanowskij i Frydlander. Oskarżał prokurator Nimander. Oskarżony bronił się sam przy pomocy źródeł naukowych i globusu nieba. Po trzechgodzinnych rozprawach przy drzwiach zamkniętych sąd wydał wyrok uniewinniający i zniósł konfiskatę dzieła.

PRAWA KOBIET. W parlamencie austrjackim stanęła na porządku dziennym teraźniejszej sesji kwestja rozszerzenia politycznych praw kobiet. Dotychczas sprawa znajduje się w komisji, która powzięła już przychylną dla reformy uchwałę, kiedy zaś dostanie się przed pełną izbę, dotychczas niewiadomo. Przed tygodniem zjawiła się w parlamencie liczna deputacja damska, aby sprawę poprzeć drogą rozmowy z prezesami klubów parlamentarnych.

§ 30 austryjackiej ustawy o stowarzyszeniach wyłącza od możności należenia do stowarzyszeń politycznych obcokrajowców, małoletnich i wszystkie kobiety. Idzie o to, aby paragraf ten zmienić przez wykreślenie kobiet z kategorji pozbawionych prawa należenia do stowarzyszeń politycznych.

Notatnik wydawniczy.

Ukazał się zeszyt 29 **Słownika Polskiego**, ułożonego przez Władysława Niedźwieckiego z udziałem Kazimierza Króla. Zeszyt ten zawiera wyrazy od „Psiak" do „Rozbaraszkować się". Administracja „*Słownika*" mieści się przy ul. Szpitalnej Nr 10. Cena pojedyńczego zeszytu 85 kop. Zeszyty poprzednie od 1—24 kosztują po 50 kop..

Dzieje Myśli. Pod tym zbiorowym tytułem wychodzi staraniem pp. Al. Heflicha i St. Michalskiego jako serya III „Poradnika dla samouków" wykład dziejów myśli i wiedzy ludzkiej, poczynając od pojęć i poglądów przednaukowych i uwzględniając dzieje nauk szczegółowych aż do czasów najnowszych. Wydawnictwo to, rozpoczęte w roku 1907, obejmuje dotąd 2 tomy, w 4 zeszytach. Najświeższy zeszyt, obejmujący rozwój pojęć chemicznych w opracowaniu prof Marchlewskiego, dalej szkic ewolucji pojęć w mineralogji pióra Józefa Siomy i zarys rozwoju matematyki w opracowaniu pp. M. Feldbluma, Wł. Smosarskiego i St. Kwietniewskiego, opuścił tymi dniami prasę. Treść zeszytów dawniej wydanych: O rozwoju metod badań naukowych. Wiedza ludów pierwotnych. Dzieje astronomji. Rys rozwoju fizyki. — Historja ogólnej nauki o ziemi: (geografji — geologji). Dzieje nauk biologicznych. Dzieje antropologji. Dopełnienie do historji fizyki. — Z historji zagadnień i metod psychologji. Zarys historji językoznawstwa czyli lingwistyki. Indeks alfabetyczny do hist. językoznawstw.

Książki nadesłane do Redakcji:

Wincenty Kosiakiewicz: „Dzwonnik", Tragedja. 1911. Nakładem i drukiem Tow. Akc. S. Orgelbranda i S-nów.

Alicja Szamota: „W płomieniu życia", powieść. Warszawa. Wydawnictwo Kasy Przezorności i Pomocy Warszawskich pomocników księgarskich. 1911. Str. 230. Cena rb. 1 kop. 40.

Henryk Strenger: „O życiu Chopina, genjuszu i duchu jego muzyki". Próba syntezy. Słowo wstępne Ludomira Różyckiego. Nakładem autora. 1910, str. 124.

Antoni Gawiński: „Stella" — powieść. Nakładem księgarni M. Arcta. Warszawa. 1911, str. 228.

Tytus Filipowicz: „Zagadnienia postępu". Spółka nakładowa: Książka". Kraków, str. 210.

Marcelina Kulikowska. „Barwy duszy' — poezje. Spółka nakładowa „Książka". 1911, ssr. 176.

Koletty Willy: „Siedem djalogów zwierzęcych". Z oryginału francuskiego przełożył i wstępem opatrzył K. Woźnicki. Z portretem autorki. Warszawa, 1911. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda i S-nów. 1911, str. 120.

Kornel Mokuszyński: „Dusze z papieru" 2 tomy. Lwów, 1911 (203+240). Nakładem Towarzystwa Wydawniczego.

H. Poincaré: „Nauka i metoda" — przekłod M. H. Horwitza. Nakład Jakóba Mortkowicza. Warszawa, 1911, str. 220.

Franciszek Jaworski: „Lwów Stary i Wczorajszy". Szkice i opowiadania z ilustracjami. Wydanie drugie poprawione. Lwów, 1911. Nakładem Tow. Wydawniczego.

Andrzej Niemojewski: „Skad i pochód armji piątego zaboru". Wydawnictwo „Nyśli Niepodległej", str. 68. Rok 1911. Warszawa.

Ignacy Matuszewski: „Weyssenhoff i „Laury" Wyspiańskiego". Szkic polemiczny z powodu feljetonów krytycznych o Wyspiańskim. Warszawa. Nakładem autorka. 1911, str. 56.

Pieśni Jana Mieczysława — Paryż, 1910, str. 75.

Daniel Zgliński: „Impertynencje i paradoksy" — Studja. Warszawa, 1911. Nakładem księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A Turkuł), str. 136.

Halszka Sokół: „Z braku serca" Dramat. Wilno, 1911, str. 50. Cena rb. 1 kop. 20.

„Bhagavad-Gîtâ", czyli pieśń błogosławionego. Przełożył Bronisław Olszewski. Warszawa. E. Wende i S-ka, 1910.

Zygmuut Bartkiewicz: „Słabe serca" — Nowele. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 386. Cena rb. 1 kop. 80. Wydanie II.

Adam Krechowiecki: „Amen" — powieść. Str. 520 Rok. 1911. Nakładem księgarni M. Arcta. Warszawa.

K. Grądzielski: „Dzieje Literatury Polskiej" Spółka nakładowa „Książka" — Kraków. Składy główne: Warszawa, G. Centnerszwer i Ska; Lwów, H. Altenberg. Str. 392 R. 1911. Cena rb. 2.

Fryderyk Nietzsche: „Wola mocy" w przekładzie Stefana Frycza i Konrada Drzewieckiego. Polskiej edycji dzieł Fr. Nietzschego, tom XII. Nakładem Jakóba Mortkowicza 1911. Warszawa. Str. 565, Cena rb. 3.

OFIARY.

Na rzecz Wyższych Kursów Naukowych od następujących pracowników Huty Nikopol. Mariupolskiej w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, T. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J Tomazsewski rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Piolarski rb. 1, L. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, L. Mieczyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, L. Prokopowicz kop. 50, P. Mitrocki kop. 50, H. Blum 50, L. Czaykowski rb. 1, J. Rayski rb. 1, ogółem rb. 49.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Anieli C. Przekład noweli drukowany nie będzie.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA
Polskiego Związku Nauczycielskiego

	Cena kop.
Nałkowski W. Zarys metodyki gieografji . . .	40
Trzebiński J. D-r. Motodyka botaniki	40
Dyakowski A. Zarys metodyki elementarnego kursu historji naturalnej	30
Zieliński T. D-r. Starożytność klasyczna i wykształcenie klasyczne	25
Prądy w nauczaniu języka ojczystego. Praca zbiorowa	1,50
Program języka polskiego w klasie wstępnej, 1-ej, 2-ej, 3-ej i 4-ej	10
Komornicki L. Stylistyka polska, objaśn. na przykładach i ćwiczeniach	75

Skład główny w Polskim Związku Nauczycielskim
Nowogrodzka 25.
Zamawiający bezpośrednio w biurze Polskiego Związku Nauczycielskiego kosztów przesyłki nie ponoszą.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50.**
Tom II: Tragikomedja prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona. Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb 1 k. 20.**
Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb 1 k. 20.**
Tom IV: Piękna, Aspazja. **Rb. 1 k. 50.**
Tom V: Trylogja Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 k. 50.**
Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 k. 50.**
Tom VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 k. 50.**
Tom VIII: Duchy. Część 4, 5 i 6. **Rb. 2.**

Do nabycia w Administracji *Prawdy*.

Iza Moszczeńska
POSTĘP NA ROZDROŻU.

Postępowcy i ich kłopoty. — Drogowskazy postępu. — Masy żydowskie w nowożytnym społeczeństwie. — Asymilacja i jej odmiany. — Najlepsze rozwiązanie kwestji żydowskiej.
Cena 65 kop.
Skład główny w księgarni E. Wendego i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł.)

Wychodzi w każdy czwartek
NOWY
SZCZUTEK
Tygodnik satyryczny.

V rok istnienia.

W Warszawie: rocznie rb. 4., półrocznie rb. 2 kwartalnie rb 1.
Za przesyłkę pocztową dopłaca się **rubla** w stosunku rocznym

Adres Administracji: **BIURO UNGRA, Aleja Jerozolimska 78, w Warszawie.**

Wacława Grubińskiego
BUNT

wydanie drugie	Cena rb. 1.—
Pocałunek	1.20
Na rubieży . . . . . „	80
Uczta Baltazara . . . . „	75
Pijani . . . . „	1.—

Skład główny w księgarni E. Wende i Sp.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.